



# LIZ IRELAND

---



*Narzeczona  
mojego brata*

# *ROZDZIAŁ PIERWSZY*

Gdzie do licha podziewał się Bob?

Cathy Seymour kurczowo ścisnęła wiązaną ślubną. Kostium w kolorze kości słoniowej, który kupiła specjalnie na tę okazję, był niemal mokry od potu i wymięty. Cathy, zazwyczaj niezwykle dbająca o nieskazitelną prezencję, była teraz tak zdenerwowana, że w ogóle jej to nie obchodziło. Już czterdzieści minut wierała się nerwowo na ławce w urzędzie stanu cywilnego, na próżno wypatrując narzeczonego. Musiało się stać coś przerażającego, skoro Bob Delaney spóźnił się już czterdzieści minut na własny ślub!

Cathy wierzyła w ślubne przesady. Nigdy nie rozumiała par, które potrafiły polecieć samolotem do Vegas i pobrać się w dżinsowych ubraniach, pobłogosławieni przez jakiegoś Elvisa - tak jak zrobili jej rodzice. Ona marzyła zawsze o tradycyjnej, podniosłej ceremonii.

Dlatego wychodziła za Boba Delaneya, człowieka odpowiedzialnego, zrównoważonego i konserwatywnego.

Niektórym mógł nawet wydawać się trochę nudny, ale Cathy była innego zdania. Nie mogła się doczekać przeprowadzki na przedmieście. Wreszcie zrealizuje marzenia o sennych popołudniach i grillu w ogródku. Była niemal pewna, że będą mieć z Bobem kilkoro dzieci i piękne, zielone trawniki, tak jak bohaterowie filmów i telewizyjnych reklam.

Oczywiście, jeśli Bob w końcu się pojawi... Na myśl o tym, że Bob mógłby ją porzucić, zaschło jej w gardle.

Nonsens! Cathy starała się odpędzić złe myśli. Najprawdopodobniej coś się stało w banku. Jeśli istniało na tej ziemi cokolwiek, co Bob kochał bardziej od niej, był to First International Bank, w którym oboje pracowali. Ona jako urzędniczka w dziale kredytów, on zaś jako jeden z wicedyrektorów odpowiedzialnych za konta międzynarodowe.

Nieoczekiwanie wyrosły przed nią czyjeś długie, mocne nogi. Spojrzała do góry. Superprzystojny mężczyzna, stojący naprzeciw niej, zepchnął myśli o Bobie Delaneyu na daleki plan jej świadomości. Wolno powiodła wzrokiem po wąskich biodrach i szerokiej klatce piersiowej. Mężczyzna miał kwadratową szczękę i niezbyt foremny, w przeszłości zapewne złamany nos. Wreszcie napotkała parę niezwykle jasnych niebieskich oczu i zatoneła w tym błękiecie... Ten wysoki, ciemnowłosy nieznajomy był bez wątpienia bardzo przystojnym mężczyzną, a na dodatek patrzył na nią takim wzrokiem, jakby zobaczył bóstwo.

Połehtało to jej próżność. Szybko skarciła się w duchu. Za chwilę miała wyjść za mąż, a może atrakcyjny nieznajomy już od dawna jest szczęśliwym mężem i ojcem.

Cathy, która uważała się za osobę spostrzegawczą, zaczęła szukać słabego punktu w wyglądzie nieznajomego, czegoś, co mogła w pierwszej chwili przeoczyć.

Wreszcie dopięła swego. Krawat! Jak mogła go wcześniej nie zauważyć? Był okropny i krzykliwy, jak te z lat siedemdziesiątych, a więc z okresu, kiedy żyła w komunie. Szkoda, że nie potrafiła o tym zapomnieć...

Mężczyzna, wskazując puste miejsce obok niej, zapytał cicho, czy jest wolne. Cathy wpadła w panikę.

Ale cóż miała robić? Na pozostałych krzesłach siedziały szczęśliwe pary. Przesunęła się, by zrobić miejsce dla przystojnego nieznajomego. Nieznajomego w obrzydliwym krawacie, poprawiła się. Być może z mężczyzną u boku, poczuje się mniej... samotnie.

Obdarzyła przystojniaka ukradkowym spojrzeniem. Gdyby tak Bob nagle wszedł i zobaczył ją tutaj z obcym mężczyzną, może by się nawet trochę zdenerwował?

Nie, to niemożliwe. Bob nigdy nie podejrzewałby jej o zdradę. Często powtarzał, że jej najcenniejszą zaletą jest ostrożność i budzący powszechny podziw zdrowy rozsądek.

Wszystko zależało oczywiście od punktu widzenia. Jej starsza siostra, Joan, uważała z kolei, że zdrowy rozsądek jest największą wadą Cathy. Jednak Joan była równie zwariowana, jak ich rodzice, z tą tylko szczęśliwą różnicą, że przynajmniej rozumiała dobrodziejstwa płynące z posiadania stałej pracy. I podobnie jak Cathy mieszkała w Nowym Jorku, a nie w Gwatemali, co było wyborem nader rozsądnym dla każdego psychoterapeuty.

Cathy, oczywiście, była ulubionym przypadkiem Joan.

- Któregoś dnia - powtarzała często - któregoś dnia ten wolny duch, którego w sobie tłamsisz, wystrzeli na wolność, a wtedy twoje rozważne, uporządkowane życie runie jak domek z kart.

W takich chwilach Cathy zawsze powracała myślą do odległych wspomnień. Nazywano ją Kwitnącą Kroplą i wychowywano w komunie, ale ile to już lat temu... Gdy tylko trochę podrosła, wyjechała z Santa Fe, gdzie jej rodzice parali się leczeniem kryształami, zmieniła imię i osobowość. Przeobraziła się w dziewczynę najbardziej stateczną ze statecznych, i taka już pozostała.

No, może poza incydentem ze Skippym Dewhurstem, zaraz po studiach. Dzięki Bogu Joan nic o tym nie wiedziała. Teraz Cathy marzyła przede wszystkim, by wieść idylliczne życie w pięknym domku z ogródkiem na przedmieściach u boku jakiegoś solidnego obywatela. Takiego na przykład jak Bob Delaney.

Joan uważała, że ślub z Bobem to niedorzeczny pomysł. Sama zmieniała swoich dziwnych partnerów równie często, jak kolor włosów, czyli raz na tydzień. A jednak to zdaniem nowoczesnej i wyzwolonej buntowniczką, wychodząc za mąż za Boba, Cathy oszukiwała samą siebie, ponieważ „tłumiła swoją romantyczną naturę”.

Kątem oka Cathy zerknęła na mały, złoty zegarek i stwierdziła z przerażeniem, że Bob spóźnił się już czterdzieści pięć minut. Czy naprawdę wystawił ją do wiatru?

Nigdy! Bob Delaney nie potrafił oszukiwać. No, może zjadłby ukradkiem czekoladowy batonik albo wypuścił się z kumplami na piwo, lecz to byłyby jedynie drobne odstępstwa od zasady.

Przygryzła nerwowo wargę; czuła spływające po plecach strużki potu. Zaczęła wachlować się wędnącymi stokrotkami i kilka razy nerwowo obróciła na palcu zaręczynowy pierścionelek. Może powinna zadzwonić do banku?

- Cathy Seymour i Robert J. Delaney!

Suchy, oficjalny głos urzędnika sprawił, że Cathy się wzdrygnęła. Nadszedł moment jej ślubu, a pan młody podziewał się Bóg wie gdzie. Co powinna zrobić?

- Catherine Seymour i Robert J. Delaney? - Na twarzy urzędnika, dotąd spokojnej i nieco znudzonej, pojawiło się ożywienie.

Cathy wstrzymała oddech. Nie powinna chyba tak po prostu siedzieć i udawać, że nic się nie dzieje. Na twarzy urzędnika pojawił się uśmiech.

- Catherine Seymour i Robert Delaney po raz pierwszy, po raz drugi...

Cathy próbowała odchrząknąć, ale twarda gęła, która nagle wyrosła jej w gardle, uniemożliwiała wydanie jakiegokolwiek dźwięku. Gdy z drzeniem zaczęła wstawać, poczuła na ramieniu czyjąś rękę.

- Cathy?

Na dźwięk swojego imienia zamarła. Wszystkie głowy w pokoju zwróciły się w jej kierunku. Wstrząśnięta, spojrzała w głębokie, niebieskie oczy mężczyzny siedzącego obok niej. Kim był? Skąd znał jej imię? I dlaczego patrzył na nią z takim uczuciem?

- Przykro mi, Cathy, ale nie mogę tego znieść - powiedział poważnym, donośnym głosem.

W poczekalni zaległa grobowa cisza. Cathy słyszała, jak krew pulsuje w jej skroniach. Czy ten facet był nienormalny? Szarpnęła ramieniem, ale on jej nie puszczał.

- Proszę... - wyszeptała.

- Obawiałem się, że będziesz błagać. - Smutno pokiwał głową, a potem znów spojrział na nią ze łzami w oczach. - To nie dlatego, że cię nie Kocham, Cathy...

- Jesteś nienormalny! - krzyknęła, odzyskując wreszcie głos.

- Cathy, proszę, nie rób sceny.

Miała wrażenie, że jest bohaterką jakiegoś sennego koszmaru. Jeśli zamknie oczy i policzy do trzech...

- Kochanie, źle się czujesz? Słabo ci? - Mężczyzna wstał, podtrzymując ją troskliwie. - Powinniśmy stąd wyjść... Musimy porozmawiać.

- Nigdzie z tobą nie pójdę! - krzyknęła, wbijając obcasy pantofli w terakotową podłogę. - Nie jesteś Bobem! Kim jesteś? - Kurczowo chwyciła poręcz ławki. - Nigdzie z tobą nie pójdę!

- Kochanie, robisz z siebie widowisko.

- Proszę mi pomóc! - krzyknęła z rozpaczą. - Ten człowiek nie jest moim narzeczonym!

- To widać - zażartował ktoś okrutnie. Nowojorczyacy! Czy cokolwiek obudzi ich współczucie?

Czy ktokolwiek zareaguje?

- Nigdy przedtem nie widziałam tego mężczyzny! - oświadczyła.

Urzędnik pokiwał głową.

- W takim razie nie powinna pani z nim tutaj przychodzić.

- Proszę zadzwonić po policję! - Cathy nie zamierzała się tak łatwo poddawać.

- Kochanie, kochanie... - Mężczyzna przyciągnął ją do siebie. Szarpała się i wyrywała, dopóki nie usłyszała tuż przy uchu: - Mam pistolet, młoda damo. Ruszaj prosto do drzwi. Gotowa?

Bezmyślnie skinęła głową. Cóż mogła zrobić? Przecież nie mogła liczyć na niczyją pomoc. Może uda jej się wyrwać na ulicy...? Ale co się stało z Bobem?

Sztywno postąpiła krok naprzód, kurczowo ściskając torebkę i kwiaty.

- Nie ujdzie ci to na sucho! - syknęła, gdy wyszli na pusty korytarz.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - powiedział.

- A co mam robić? Cierpliwie czekać, aż wrzucisz mnie do East River?

- Zapewniam, że nie zrobię ci krzywdy.

No pewnie! Kiedy dotarli do obrotowych drzwi, Cathy próbowała sobie przypomnieć otoczenie na zewnątrz - schody, ruchliwą ulicę, szare gmachy budynków rządowych, oddaloną o dwie przecznice stację metra. W którym miejscu najlepiej spróbować uciec? Może w obrotowych drzwiach? Jednak porywacz cały czas trzymał jej ramię w żelaznym uścisku. Dopiero po wyjściu z drzwi Cathy wykorzystała dogodny moment i wyrwawszy się z uścisku, popędziła w stronę schodów, roztrącając przerażonych przechodniów. Słyszała tupot nóg prześladowcy, widziała jego cień, krzyżujący się z jej własnym, kiedy zbiegali ze schodów. Następnym razem, gdy będzie wychodzić za męża, założy tenisówki!

Złapał ją za łokieć, gdy wylądowali na chodniku, i nieoczekiwanie przycisnął do piersi.

- Puść mnie! - krzyknęła, okładając go zaciekle torebką.

- Chcę tylko z tobą pomówić, młoda damo - szepnął ponurym głosem do jej ucha.

- No pewnie! Chcesz sobie pogawędzić przy kawie! - Z niepokojem rozglądała się wokół, kiedy ciągnął ją po chodniku. W oddali, po drugiej stronie ulicy, stał policjant. Czy powinna zacząć krzyczeć?

Zatrzymali się przy starym sedanie.

- Wsiadaj! - nakazał porywacz, otwierając wolną ręką drzwi. - Nic ci się nie stanie.

Dobre sobie! Kiedy spojrzała na welurowe obicie tylnego siedzenia, a potem na policjanta po drugiej stronie ulicy, w jej głowie zrodził się plan. Jeśli uda się wszystko zsynchronizować...

- W porządku. - Zmusiła się, by jej głos zabrzmiał przyjemnie.

Dopiero gdy usiadła na tylnym siedzeniu samochodu, zauważyła za kierownicą szofera. Starła się zapamiętać jak najwięcej szczegółów jego fizjonomii. Być może będzie musiała rozpoznać go podczas konfrontacji na posterunku... Kiedy usiadła, porywacz puścił jej rękę. W tym momencie przesunęła się w stronę przeciwległych tylnych drzwi, po czym, nie zważając na ruch, wyskoczyła na ulicę. Rzuciła się błyskawicznie do przodu w kierunku policjanta po drugiej stronie ulicy.

- Pomocy! Ratunku! - krzyczała. Biegła przed siebie, omijając nadjeżdżające samochody i całą uwagę skupiając na człowieku w mundurze.

- Oficerze - wymamrotała, ciężko dysząc. - Musi mi pan pomóc, pro...

Na nalanej twarzy mężczyzny pojawił się szeroki, przyjacielski uśmiech.

- Witam pana, kapitanie. - Policjant zaszalutował jowialnie komuś z tyłu.

Zaskoczona Cathy obróciła się. Porywacz stał za nią i uśmiechał się, mrugając niebieskimi oczami.

- Witaj, O'Donnell. Ciężki dziś dzień, jak widzę.

- A ja widzę, że pan kapitan spędza wolne dni, uganiając się za spódniczkami! - Policjant zachichotał.

Cathy ze zdumienia opadła szczęka. Ten człowiek - ten groźący pistoletem bandyta - był policjantem? Z rezygnacją wypuściła powietrze.

Czyjaś ręka znów zacisnęła się wokół jej ramienia.

- To taka drobna, prywatna sprawa.

- Tak to się dziś nazywa? - Policjant roześmiał się głośno.

- To się nazywa uprowadzenie - orzekła Cathy stanowczo.

Obaj mężczyźni zaśmiali się, jakby usłyszeli wspaniały żart, a potem porywacz, któremu nadała w myślach przydomek Fatalny Krawat, zaczął ją odciągać.

- Chodźmy, Cathy.



- Traktuj go dobrze, moja panno. - O'Donnell puścił do niej oko. - Jest łagodniejszy, niż na to wygląda. - Zaczął chichotać.

Nic dziwnego, że przestępczość rosła w zastraszającym tempie, skoro policjanci mogli bezkarnie porywać niewinnych ludzi!

Nagle zarumieniała się aż po czubek głowy. Glina! O Boże, dopadli ją! Przystanąła gwałtownie.

- Czy chodzi o mandaty za złe parkowanie?

- Mandaty za parkowanie? - Fatalny Krawat zmarszczył brwi.

- Mogę zapłacić od razu.

- Uspokój się wreszcie! - przerwał jej niecierpliwie. - Nie chodzi o parkowanie. Przestań się wreszcie zachowywać jak wariatka.

Nie mogła uwierzyć, że miał czelność to powiedzieć.

- Przepraszam, ale moja matka zawsze ostrzegała mnie przed wsiadaniem do samochodów z nieznanymi mężczyznami - palnęła bez zastanowienia, choć było to bezczelne kłamstwo.

Fatalny Krawat zatrzymał się, ponownie otwierając przed nią drzwi samochodu.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, Cathy...

- Skąd znasz moje imię? - przerwała. - Kim jesteś?

- Nieważne. Wierz mi, nie stanie ci się krzywda, o ile przestaniesz się rzucać wprost pod samochody.

- Nieważne? - zapytała oszołomiona. - Zostałam porwana, a ty twierdzisz, że to nieważne?

- Nic złego ci się nie stanie.

- W takim razie, dlaczego grozisz mi pistoletem?

- Jestem policjantem - odpowiedział.

- W telewizji widziałam mnóstwo programów o złych, skorumpowanych policjantach.

- Musiałem cię stamtąd zabrać.

- Chyba nie jesteś z FBI?
- Skąd te podejrzenia? - Pochylił głowę w jej stronę.
- Czy chodzi o moich rodziców? - Ostatnio rzadko słuchała wiadomości.

A może w Ameryce Środkowej miał miejsce zamach stanu, o którym nie słyszała, albo jakieś inne nieszczęście, w które wpakowali się jej szaleni rodzice? A może, co gorsza, wrócili do Stanów i trafili do więzienia...

- Twoich rodziców?

- Powinnam wyjaśnić kilka rzeczy - powiedziała szybko. - Właściwie nigdy nie zostali deportowani. A hodowali te cholerne konopie jedynie dlatego, by zaprotestować przeciw wycinaniu lasów. Nie pochwalam ich metod, ale...

- Ale co?

- Widzisz, można z tego robić papier i inne użyteczne przedmioty...

- Konopie? - Mężczyzna wydawał się całkiem zdezorientowany. - Młoda damo, o czym pani mówi?

- O moich rodzicach - wyjaśniła.

- To nie dotyczy rodziców ani mandatów za parkowanie - powiedział w końcu. - Chodzi o twojego narzeczonego.

- O Boba? Co z nim?

- Wsiądź do samochodu, porozmawiamy.

- Nie! Chcę zobaczyć Boba!

- Zobaczysz, jak tylko wsiądziesz do samochodu - obiecał.

O dziwo, Cathy wyczuła nutkę sympatii w głosie mężczyzny i odrobinę poczucia winy. A gdy spojrzała w jego przejrzyste, niebieskie oczy, zobaczyła w nich cień życzliwości. W tej przystojnej twarzy było coś znajomego. Czy to możliwe, że już go kiedyś spotkała?

A jeśli Bob naprawdę wpadł w tarapaty i dlatego spóźnił się na ślub? Natychmiast musiała się tego dowiedzieć.

- Obiecałeś, że zobaczę Boba? Kiedy?

- Zaraz.

Wzięła głęboki oddech i wsiadła do samochodu. Mężczyzna szybko wsiadł za nią. Usłyszała kliknięcie automatycznych zamków.

- Ejże! - krzyknęła oburzona. - Czy jestem jeńcem? Fatalny Krawat zignorował ją. Patrzył wprost przed siebie.

- Brooklyn - rzucił w stronę kierowcy.

- Brooklyn? - spytała. - Bob nigdy nie pojechałby tam, nawet pod muszką pistoletu.

- Masz całkowitą rację, moja panno. - Fatalny Krawat uśmiechnął się cynicznie. - Boba tam nie ma.

- A więc, gdzie jest? - zapytała w panice, ponieważ samochód skręcił w boczną uliczkę. - Powiedziałeś, że go zobaczę!

- Spójrz do tyłu.

Na moment samochód zwolnił, umożliwiając Cathy przyjrzenie się czarnej limuzynie stojącej przy krawężniku. Na tylnym siedzeniu, z wykręconym ciałem i twarzą przylegającą do tylnej szyby, siedział Bob.

- Bob! - krzyknęła rozpaczliwie. Jego też uprowadzano! Ale dlaczego? I dlaczego, do diabła, w ogóle zgodziła się wsiąść do tego samochodu?

Pulchne dłonie Boba były rozplaszczone na szybie i Cathy zauważyła błysk spinek do mankietów. Bob był ubrany do ślubu! Nie spóźnił się, po prostu został porwany!

- Zatrzymaj ich! - wrzasnęła do mężczyzny obok. - Gdzie go zabierają?

- Tam, dokąd jedzie, nic mu nie grozi.

Nie uwierzyła tym zapewnieniom. Przylepiona do tylnej szyby, patrzyła na swego narzeczonego, coraz bardziej się rozżalając. Bob nigdy nie wydawał jej się tak drogi, jak właśnie w tym momencie, gdy wywożono go w nieznanym kierunku.

## *ROZDZIAŁ DRUGI*

„Urowadź narzeczoną”. Takie dostał instrukcje.

W porządku, może nie wyszło mu najlepiej. Hale Delaney nie miał doświadczenia w tym względzie. Musiał przyznać, że jego przewidywania zupełnie się nie sprawdziły. Spodziewał się bowiem, że narzeczoną Boba okaże się istotą bezwonną, flegmatyczną i równie nudną, jak jej narzeczoną. Cathy Seymour okazała się natomiast dziewczyną energiczną, piękną i o wiele dzielniejszą, niż Hale przypuszczał.

Wpadł w ponury nastrój. Był policjantem, a nie przestępcą. I jako doświadczony policjant miał wielką ochotę wygłosić wykład na temat wsiadania do samochodu z nieznanym. Westchnął z rezygnacją.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co może przytrafić się samotnej kobiecie w wielkim mieście? - spytał.

Rzuciła mu zirytowane spojrzenie.

- Owszem, właśnie udzieliłeś mi lekcji pogładowej! Teraz ja ci coś powiem! - wybuchła. - Zaufałam ci i zobacz, jak to się skończyło. Moje marzenia o szczęśliwym życiu w jednej chwili legły w gruzach!

Hale w pełni rozumiał jej oburzenie. Nie dziwił się również, że wpadła w panikę. Ale jeśli ta pannica ponownie spróbuje ucieczki, skutki mogą być opłakane. Czy nie wiedziała, że ludzie w Nowym Jorku kierowcy jeżdżą jak szaleńcy?

- Nie powinnaś wybiegać na jezdnię - dodał dla porządku.

- Następnym razem, gdy zostanę porwana, będę o tym pamiętać. - Posłała mu wściekłe spojrzenie, a potem wbiła wzrok w szybę.

Cała ta sytuacja wyprowadziła Hale'a z równowagi, chociaż z natury był spokojnym, niefrasobliwym facetem. Zbyt niefrasobliwym, jak mawiał jego kochany staruszek. Kevin Delaney, irlandzki emigrant, spodziewał się, że

synowie pójdą w jego ślady i będą realizować amerykański sen: zrobią karierę w biznesie, kupią duży dom na przedmieściach, dochowają się dzieci. Jednak obaj synowie go rozczarowali, a i samo życie nie oszczędziło mu gorzkich doświadczeń. Ani dom, ani praca, ani dzieci nie przyniosły Kevinowi szczęścia. Może tylko małżeństwo... Niestety, przedwczesna śmierć żony załamała Kevina wewnątrz i oddaliła od synów. Od tej pory model życia, gloryfikowany w serialach telewizyjnych z lat pięćdziesiątych, przyprawiał Hale'a o mdłości. Jak dotąd szczęśliwie uniknął rodzinnych sidła.

A teraz sam wpakował się w kłopotliwe położenie. Właściwie dlaczego się zgodził? W o dziesięciu latach sporadycznych kontaktów ojciec zwrócił się do niego z prośbą o pomoc. Wiedział, jak wiele musiało to kosztować starego człowieka. A Hale miał słabość do ludzi w potrzebie... Być może odezwała się tu zawodowa odpowiedzialność. Zawsze wręczał chusteczki do nosa i gorącą kawę obywatelom, którzy znaleźli się w tarapatkach. Tak czy owak, mimo że uznał całą historię za niedorzeczną i nie miał przeciwko bratu, na żądanie ojca zgodził się zająć narzeczoną Boba i sprawdzić, czy brat popełnił przestępstwo. I to był błąd.

Zerknął na Cathy. Była piękna, wręcz uderzająco piękna. Jakim cudem Bob, uważany od dziecka za ciamajkę, zdołał poderwać taką wystrzałową dziewczynę? A może staruszek miał rację, twierdząc, że za pieniądze można kupić wszystko, nawet szczęście? Bob dobrze zarabiał, a jeśli podejrzenia ojca były słuszne, miał forsy jak lodu.

Hale pokiwał głową. Nigdy w życiu nie przypuszczał, że będzie zazdrosny o własnego brata! Do licha, nie był zazdrosny. Jednak z drugiej strony nie mógł oderwać oczu od Cathy. A gdy patrzył na nią, ogarniało go poczucie winy.

To śmieszne. Równie idiotyczne jak myśli, które przebiegały mu przez głowę w urzędzie stanu cywilnego. Przez kilka chwil zastanawiał się, czy nie pora już pomyśleć o założeniu rodziny. Rzucając z boku spojrzenie na Cathy,

przestawał dziwić się tym, którzy zdecydowali się spędzić resztę życia z jedną kobietą.

Do licha, że też dziewczyna, dzięki której dokonał tego odkrycia, musiała być narzeczoną Boba! Co za dzień! Groził kobiecie fizycznie, porwał ją, okłamał zaprzyjaźnionego policjanta, a teraz zapragnął przyszłej bratowej.

Nagle drgnął raptownie, zaskoczony głośnym śmiechem Cathy. Jeszcze chwilę temu rzucała mu złe spojrzenia, a teraz, o dziwo, uśmiechała się do niego szeroko.

- W porządku - powiedziała, klaszcząc w dłonie. - To jest żart, prawda? Czy to nie Bernie Morton zlecił wam porwanie Boba i mnie?

Hale, jak przystało na detektywa, zainteresował się nową poszlaką.

- Kim jest Bernie Morton?

- Daj spokój, nie musisz już dłużej blefować. - Śmiała się, wciąż kiwając głową. - Przestraszyliście mnie nie na żarty!

- Jaki Bernie? - powtórzył Hale. - Czy on pracuje w banku?

Zignorowała pytanie.

- Dokąd jedziemy? - Pochyliła się ku niemu konfidencjonalnie. - Możesz mi powiedzieć. Jakaś modna restauracja? Ślubny apartament w luksusowym hotelu?

Jeśli spodziewała się któregośkolwiek z tych wyszukanych miejsc, będzie boleśnie rozczarowana jego mieszkaniem.

- Młoda damo - powiedział sztywno. - Nie chcę cię denerwować, ale naszym celem jest Brooklyn.

- Masz na myśli...

- To nie będzie żadna wytworna knajpa - wyjaśnił, wściekły, że znów musi ją rozczarować. - Ale powiedz wreszcie, kim jest Bernie Morton?

Zawód w jej oczach przerodził się w jawną wrogość.

- Nic ci nie powiem, ty... ty porywaczu narzeczonych! Można wiedzieć, co masz przeciwko ślubom?

Hale'a zaskoczyło to pytanie.

- Moja opinia na ten temat nie ma tu nic do rzeczy.

- Na pewno nie akceptujesz małżeństwa, skoro zamierzasz rozdzielić dwoje ludzi na progu... wspólnego życia.

O Boże, tylko nie to! Nie mógł znieść widoku płaczącej kobiety.

Odruchowo sięgnął do kieszeni, wyciągnął białą chusteczkę i podał ją Cathy.

Potrząsnęła głową. Jej odmowa spowodowała, że poczuł się jeszcze bardziej winny.

- Trafiłaś w sedno - przyznał, natychmiast odzyskując jej uwagę.

Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. - Nie jestem entuzjastką małżeństwa. W pracy stale mam do czynienia z rodzinnymi problemami.

- Bob i ja nie mamy problemów. - Wydeła wargi. - Nigdy się nie kłócimy. Oboje mamy bardzo spokojne usposobienie.

- To cudownie - powiedział, próbując ją uspokoić. - Naprawdę wierzę, że czeka was wspaniała przyszłość. A teraz proszę, wydmuchaj nos.

Spodziewał się dalszych łez albo jakiegoś kaśliwego komentarza. Ale zupełnie nie był przygotowany na piść, która pojawiła się znikąd i trzasnęła go w nos z dźwięcznym plaśnięciem tak mocno, że opadł oszołomiony na siedzenie.

- Zadbaj o swój własny nos, który właśnie krwawi - powiedziała, ściągając usta i patrząc nań zwężonymi oczami.

Instynktownie przytknął do twarzy chusteczkę. Cholera! Miała rację, rzeczywiście krwawił. Prawdopodobnie zadrapała go diamentowym pierścieniem. Ważny szczegół do zapamiętania: była leworęczna.

- Rzeczywiście, jesteś cholernie spokojną kobietką - skomentował, rzucając jej taksujące spojrzenie. Wyglądała na zadowoloną z siebie.

- Należało ci się, kłamco. - Uśmiechnęła się do niego z satysfakcją.

Musiał szybko skontaktować się z ojcem. Nie chciał przebywać z tą kobietą nawet sekundę dłużej, niż to było konieczne i nie obchodziło go, co też

narozrabiał jego kochany braciszek. Kiedy zgodził się pilnować narzeczonej Boba, wyobrażał ją sobie jako dziewczynę posłuszną, łagodną i subtelną. Miał zaś do czynienia z piękną i rozsierdzoną kobietą, a to zwiastowało kłopoty.

- Nareszcie w domu - oznajmił Fatalny Krawat, kiedy samochód zatrzymał się w centrum włoskiej dzielnicy. Ulica pełna była pizzerii i lodziarni.

Cathy pobladła. Włosi! Czyżby Bob zadawał się z mafią?

- Dziękuję, Tony. Możesz już wracać do domu.

O, dzięki Bogu! Cathy odetchnęła z ulgą. Nigdy nie przypuszczała, że tak ją uszczęśliwi perspektywa powrotu do jej małego i ciasnego mieszkania. Kiedy kliknęły automatyczne zamki, z ulgą opadła na siedzenie. Wkrótce koszmar się skończy!

- Nie wysiadasz?

Nie pojmując, o co chodzi, spojrzała w niebieskie oczy.

- Powiedziałeś przecież szoferowi, żeby zawiózł mnie do domu - wyjaśniła.

Wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu.

- Nie ciebie miałem na myśli, lecz kierowcę.

- Powinieneś wyrażać się jaśniej - powiedziała, tępo patrząc przed siebie.

Może pozwoli jej odejść, jeśli odmówi wyjścia z samochodu.

Wysiadł, zatrzasnął swoje drzwi i przeszedł na jej stronę.

- Rusz się. - Kiedy nadal nie reagowała, złapał ją pod pachy i wyciągnął z samochodu.

- Ejże! - krzyknęła, lecz nie miała szans z facetem, który okazał się prawdziwym siłaczem.

Postawił ją na chodniku, zamknął drzwi samochodu i pomachał kierowcy. Kiedy stali tak pośród popołudniowego ulicznego zgiełku i obserwowali odjeżdżającego sedana, Cathy nagle zrozumiała, że jej życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej. Co za koszmar...

- Chodźmy - ponaglił ją mężczyzna.



- Dokąd? - zapytała, groźnie marszcząc brwi.

- Mieszkam tutaj. - Wskazał budynek za plecami. Wystawę sklepu na parterze, ocienioną markizą w zielono-białe paski, wypełniały torty, patery z ciasteczkami i kosze pełne chleba.

- Czyżbyś mieszkał w piekarni?

- Mieszkam nad piekarnią, na drugim piętrze. Carlo, właściciel, jest moim gospodarzem.

- Jeśli sądzisz, że wejść do twojego mieszkania, musisz być zdrowo stuknięty. Nawet nie wiem, jak ci na imię.

W jego oczach zabłyśły iskierki rozbawienia. Wykonał zabawny, przesadnie uniżony ukłon.

- Miło mi cię poznać, Cathy, mam na imię Hale.

Hale, czyli krzepki... Wargi jej drgnęły w uśmiechu, ale zmusiła się do zachowania powagi.

- I tak nie wejść do twojego mieszkania.

- Słuchaj, wiem, że to brzmi dziwnie... Może gdybym powiedział ci, kim jestem...

- Wybij to sobie z głowy - parsknęła, trzymając ręce na biodrach. - Nawet gdybyś był samym Harrisonem Fordem i tak nie przestąpiłabym progu twojego mieszkania.

- Naprawdę? - Wyszczерzył zęby.

- Nie obchodzi mnie, co masz mi do powiedzenia. Nie zamierzam ruszyć się z miejsca! - Cathy spojrzała na ulicę i zobaczyła, że światło zmieniło się na czerwone. Szybko rzuciła okiem na wejście do metra. A potem wzięła głęboki oddech i rzuciła się do przodu.

Zanim pokonała trzy metry, poczuła twardą rękę na ramieniu. Hale obrócił ją do siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że muszę to zrobić.

- Co?

Ledwie Cathy zdążyła drgnąć, uniósł ją do góry i przerzucił sobie przez ramię.

- Hej! - wrzasnęła, próbując się uwolnić.

Trzymał ją mocno za kolana i potrząsał głową, tak jakby miał wszystkiego dość. Jakby to była jej wina! Cathy zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma kurczowo zwiędły już bukietek stokrotek Walnęła nim teraz w mocne ramię, które ścisnęło jej biodra.

- Czy wiesz, że jesteś agresywna? - Hale zaśmiał się. . - Moja agresja wynika z faktu, że zostałam porwana.

Hale zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi i przerzucając swój łup na drugie ramię, wyłowił z kieszeni klucze. Przeszli przez dwie pary drzwi i zaczęli pięć się w górę po schodach.

- Możesz mnie już postawić.

- Poradzę sobie - odparł, kontynuując wspinaczkę, jakby nie była cięższa od zwiniętego dywanu. - Mimo wszystko jesteś moim gościem.

- Gościem! - wybuchła. - Ciekawe, czy innych gości traktujesz równie brutalnie!

Przed drzwiami mieszkania Hale postawił ją na podłodze.

- Czy moglibyśmy zakończyć to przedstawienie? - powiedział, wkładając klucz do zamka. - Wiem, że mi nie wierzysz, ale nie zamierzam cię skrzywdzić.

- Oczywiście, że ci nie wierzę! Uważasz mnie za idiotkę? Jeśli myślisz, że przestąpię próg, to jesteś szalony!

Pokiwał głową, jakby rozważając jej słowa.

- Zanudzisz się na korytarzu. Nie ma tu wiele do roboty.

- Nie zamierzam nic robić. Interesuje mnie wyłącznie Bob. Gdzie go trzymacie? I dlaczego?

- Nie będę dyskutować o tym pod drzwiami sąsiadów. Wejdz do środka.

- W żadnym wypadku. - Skrzyżowała ramiona.

- Nie pomożesz Bobowi, stojąc na korytarzu.

- Kim jesteś? - Przygryzła wargę. - Czy znasz mojego narzeczonego?

- Można powiedzieć, że znam go od zawsze - odparł z wahaniem.

- Jest twoim przyjacielem czy wrogiem? - nalegała.

- Jestem kimś w rodzaju pośrednika. - Wzruszył niedbale ramionami.

Westchnęła z rezygnacją. Czyż miała wybór? Prostując ramiona, niepewnie wkroczyła do jaskini lwa. Hale wszedł za nią i przekręcił klucz w zamku. W uszach Cathy dźwięk ten zabrzmiał niczym zgrzyt więziennych rygli.

Jednak kiedy zajrzała do salonu, poczuła się o wiele gorzej niż w zimnej i wilgotnej celi.

Z każdym krokiem jej nogi stawały się coraz bardziej miękkie, zaczynało brakować powietrza.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku uciekła z domu, który w owym czasie przypominał raczej komunę byłych, już nieco podstarzałych hippisów, i z uporem zaczęła budować nowe życie. Zmieniła imię, skończyła studia, awansowała w pracy, a co najważniejsze, znalazła uległego mężczyznę, którego mogła uformować na własną modłę. A kiedy już niemal osiągnęła wymarzony cel, co ją spotkało?

Została uprowadzona! I co gorsza - jej porywacz okazał się wielbicielem hippisowskiego sztafażu! Tego było stanowczo za wiele.

- Nie mogę tu zostać! - krzyknęła w panice. - Wypuść mnie natychmiast!

Cofnął się zaskoczony, ale zdążyła zadać kilka ciosów jego jaskrawemu krawatowi.

- Co się stało?

Gdy obróciła się, zauważyła materac leżący na podłodze - och, jakże nienawidziła tych wszystkich rzeczy - a na nim porozrzucane stare marynarki i kolorowe poduszki! Stare poduszki z frędzelkami! Ze wstrętem odwróciła wzrok. Ale wówczas spojrzenie jej padło na parę starych kapci i trzy, leżące obok skarpetki. Trzy - zupełnie bez sensu! W pokoju nie było stołu, tylko drewniana deska do prasowania udająca stolik do kawy. W dodatku zniszczone

krzesło, wyglądające jakby zabrano je ze śmietnika, spełniało rolę barku, na nim zaś poniewierały się gazety i puste kubki po kawie. Nic tu do siebie nie pasowało.

I nagle, jakby wszystkiego było mało, w drzwiach prowadzących do małej kuchni zobaczyła coś, co przyprawiło ją niemal o zawał serca.

- Koraliki! - krzyknęła. - Koraliki w stylu lat siedemdziesiątych!

Hale obrócił głowę, podążając za jej spojrzeniem.

- No to co?

- Masz zasłonę z koralików! - powtórzyła, obrzucając go pogardliwym, wręcz nienawistnym spojrzeniem. - Co z ciebie za świr?

Hale był zaskoczony i trochę urażony. W porządku, może nie mieszkał w eleganckim domu i być może mógłby wynająć coś lepszego... ale żeby zaraz nazwać go świrem?

- Może powinnaś usiąść - zasugerował, prowadząc ją w stronę materaca. - Wyglądasz, jakbyś za chwilę miała dostać wylewu.

- Już go dostałam! - krzyknęła, odsuwając się na bezpieczną odległość. Omal nie wpadła na maskę wiszącą na ścianie, którą kupił w Meksyku. Odskoczyła od niej jak oparzona. Przez moment krążyła bezładnie po pokoju, dewastując kolekcję świec, nadeptując na skarpety, potykając się o kapcie. Wreszcie, jawnie przerażona, stanęła i zakryła oczy. Z trudem łapała oddech, jak zwierzę w potrzasku.

- Wyglądasz na zdenerwowaną - powiedział ostrożnie.

- Zdenerwowaną? - wybuchła. Opuściła ramiona i zacisnęła dłonie w pięści. - Co ty pleciesz? To miał być dzień mojego ślubu, najszcześniejszy dzień w życiu! Leciałabym teraz na Kajmany. Na miodowy miesiąc! A gdzie jestem? W twoim nędznym mieszkaniu przypominającym hippisowski raj.

Hippisowski raj? Hale z wyraźnym zakłopotaniem rozejrzył się wokoło.

- Może nie są to salony, do których przywykłaś...

- Nie masz zielonego pojęcia, do czego przywykłam - przerwała mu gwałtownie.

- Słuchaj, może zrobię ci coś do jedzenia?

- Nie interesuje mnie jedzenie. Interesuje mnie wyłącznie Bob. Jeśli nie zamierzasz powiedzieć mi, o co tu chodzi, przynajmniej zdradź, kiedy mnie wypuścisz.

Hale naprawdę jej współczuł. Powinien zadzwonić do ojca... Chciał pozbyć się tej kobiety.

- Nie wiem - wyznał.

Cathy patrzyła na niego w osłupieniu.

- Nie wiesz? - zdziwiła się.

- To wszystko zależy... - Hale skrzywił się.

- Od czego?

- Od ciebie... i od Boba. Na ile zechcecie z nami współpracować.

- Współpracować! - oburzyła się. - Z tobą, ty hippisowski potworze?!

Twarz zapłonęła mu gniewem. Miała prawo być zła, ale dlaczego tak mu ubliżała?

- Uważaj na język, młoda damo.

- O co ci chodzi? O hippisa czy potwora?

- O jedno i drugie.

- Porwałś mnie, grożąc bronią. Twoje mieszkanie przystrojone jest paciorkami, frędzelkami i świecami.

Modlił się w duchu o cierpliwość. Apartament Boba na pewno jest schludny i elegancki, jak z obrazka w kolorowym magazynie, pomyślał z goryczą. Nic nie mógł na to poradzić, ale zaczynał powoli zazdrościć bratu. Czym Bob zasłużył sobie na taką ładną, pełną życia kobietę, która w dodatku była do niego bardzo przywiązana?

- Posłuchaj, moja panno - powiedział swoim najbardziej twardym policyjnym tonem. - Przykro mi, że to wewnątrz rani twoje wysublimowane

poczucie smaku, ale wygląda na to, że nieskazitelny narzeczony wplątał się w poważną aferę przestępczą.

- To niemożliwe! - zaprotestowała z pasją. On myślał podobnie. Z początku.

- Zachodzi uzasadnione podejrzenie, że twój filar cnót jest defraudantem.

- To absurd! - zaprotestowała ponownie. - Na pewno nie masz żadnego dowodu. Bob nigdy by się czegoś takiego nie dopuścił.

- A co sądzisz o podróży na Kajmany, w którą się razem wybieraliście? Cathy nie zauważyła naglej zmiany tematu.

- O naszej podróży poślubnej?

- Te wyspy są znanym międzynarodowym centrum prania brudnych pieniędzy.

- Są również znanym centrum turystycznym - odpaliła Cathy. - Czy to, że chcieliśmy wylegiwać się na plaży, czyni z nas przestępców?

- Nikt tu nie wspominał o tobie - sprostował Hale.

- To bardzo pocieszające - powiedziała Cathy sarkastycznie, odgarniając z czoła kosmyk włosów. - Nie wierzę, że masz dowody przeciwko. Bobowi. To po prostu niemożliwe.

- Nie przypuszczasz chyba, że Bob zamierzał zabrać cię na Kajmany wyłącznie z pobudek romantycznych?

- Na tym właśnie polega miesiąc miodowy - odparła, po czym, nagle sztywniejąc, dodała: - Uważasz więc, że nie mogę być obiektem romantycznych porywów?

Obrzucił ją z góry na dół taksującym spojrzeniem i prawie jęknął. Nie tylko miała śliczną twarz, ale przeczuwał, że pod eleganckim kostiumem kryło się fantastyczne ciało.

- Wcale tak nie uważam - odpowiedział, raz jeszcze z przyjemnością oglądając ją od stóp do głów. - Ale mówimy teraz o Bobie...

- Właśnie, o Bobie. Jak go poznałeś?

Hale nie był pewien, czy może jej wyznać prawdę. Ojciec zapewne wolałby zachować tajemnicę tak długo, jak to tylko możliwe. Ostatecznie sprawa dotyczyła rodziny Delaneyów.

- Sugerujesz, że Bob planował ucieczkę z kraju - kontynuowała Cathy, nie czekając na jego odpowiedź. - Skoro tak, dlaczego zawracał sobie głowę ślubem? Dlaczego po prostu nie wyjechał?

- Może potrzebował towarzystwa. - Popatrzył na nią z uznaniem. - Może zdał sobie sprawę, jakim jesteś skarbem, i nie chciał cię stracić?

Ucichła i zaczerwieniła się. Nie jest przyzwyczajona do komplementów, pomyślał Hale. Bob, jak widać, słabo się starał.

- Wygląda na to, że nie masz wiele do powiedzenia w obronie narzeczonego.

- Nie wierzę, by potrzebował obrony. Bob jest taki... taki... nudny! - Przesłoniła usta dłonią.

- Co za urocza charakterystyka - skomentował Hale, nie kryjąc zadowolenia.

- Sprowokowałeś mnie!

- Co ja takiego zrobiłem?

- Dobrze wiesz! Wprawiliś mnie w zakłopotanie.... A przede wszystkim, niczego nie wyjaśniłeś. Czy jestem aresztowana?

- Nie - odpowiedział.

- A Bob?

Pokręcił przecząco głową.

- O ile mi wiadomo, nie.

- W takim razie chcę się z nim zobaczyć. - Dumnie uniosła głowę. - Natychmiast!

- To niemożliwe.

- Muszę z nim porozmawiać.

- To również jest niemożliwe.

- W takim razie, co, u licha, mam robić? Cień uśmiechu przemknął po jego ustach.

- Może się jednak trochę odprężysz? Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Nie ma mowy!

Hale roześmiał się, choć wiedział, że nie żartowała.

- Dlaczego nie usiądziesz?

- Dziękuję, postoję - powiedziała sztywno.

Piękna, ale uparta. Czyżby Bob nie był aż tak wielkim szczęściarzem?

- Posłuchaj, może posłuchasz muzyki... - Wziął ją za ramiona i poprowadził w stronę odtwarzacza. - Mam tu sporo dobrych płyt.

Apatycznie przeszła przez pokój i zaczęła przeglądać płyty. Nagle zbladła. Cofnęła się, potrząsając głową.

- Co się stało? - zapytał, zastanawiając się, co tym razem wyprowadziło ją z równowagi. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

- Dylan? Wzruszył ramionami.

- I co z tego?

- Nie dbam o to, co zrobił mój narzeczonny - powiedziała groźnie. - Nie będę słuchała Dylana! Nie zmusisz mnie do tego!

- W porządku - powiedział Hale. - Uspokój się.

Cathy uklękła i zaczęła kręcić gałką radia, aż znalazła stację nadającą muzykę klasyczną. Hale skinął głową.

- Lubię Mozarta i nie jestem hippisem. Jeśli chcesz wiedzieć, te poduszki z frędzelkami podarowała mi pewna dziewczyna.

- Naprawdę? - zapytała z niedowierzaniem. - Jak ma na imię?

- Na imię? - Pytanie go zdziwiło. Jakie to miało znaczenie? - Chyba Susan...

- Chyba? - oburzyła się. - Nawet nie jesteś pewien?

- To było trzy lata temu.



- Ja pamiętam imię mężczyzny, z którym spotykałam się trzy lata temu -  
odpowiedziała.

Hale uśmiechnął się.

- Pozwól, że zgadnę... Bob?

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś złośliwy. To, że sam fruwasz z kwiatka  
na kwiatek, nie upoważnia cię do...

Zaśmiał się głośno.

- Być może nie jestem miłośnikiem domowego ogniska, ale to nie  
oznacza jeszcze, że jestem erotomanem. A jeżeli chodzi o paciorki, to wiszą  
tam, ponieważ futryna ma nieregularne wymiary i trudno do niej dopasować  
drzwi.

- Rozumiem.

- Sądziłem, że większość dziewczyn w twoim wieku ugania się za  
chłopakami z kolczykiem w nosie.

Cathy zmarszczyła się z niesmakiem.

- Mam dwadzieścia osiem lat - odpowiedziała szorstko. - A  
doświadczenia życiowe nauczyły mnie doceniać tradycyjne wartości, choć  
przyznam, że nie utrzymuję bliskich stosunków z rodziną.

- Masz na myśli rodzinę ukrywającą się przed FBI w Boliwii? - spytał z  
uśmiechem.

- W Gwatemali. - Spojrzała mu wyzywająco w oczy. -

Wychowana byłam, oględnie mówiąc, w dość niekonwencjonalny  
sposób...

- Ach, myślę, że to tłumaczy, dlaczego tak zaciekle walczysz o to, by  
zostać żoną Boba.

- Oczywiście, że walczę! Dzisiaj jest dzień mojego ślubu!

Z jakiejś przyczyny ta zdecydowana odpowiedź wzbudziła jego  
podejrzenia Pewność, jaką prezentowała Cathy, musiała być sztuczna. Czy ta  
dziewczyna nigdy nie ma żadnych wątpliwości?

Oczywiście, nie powinien przejmować się narzeczoną swego brata. Powinien raczej zadzwonić do ojca i spytać, czy operacja już dobiegła końca. Wtedy mógłby wsadzić Cathy do taksówki i wysłać ją do domu.

Ale kiedy wycofał się do kuchni i wykrecił numer w Connecticut, usłyszał ku swemu zdumieniu głos Swithina, brytyjskiego kamerdynera, którego ojciec zatrudnił, kiedy jeszcze Hale i Bob byli dziećmi. Swithin był kimś więcej niż służącym; Kevin Delaney bardzo polegał na jego opinii. To właśnie Swithin zadał sobie trud zbadania, jak doszło do kradzieży w banku i zaczął podejrzewać Boba. To on również wpadł na genialny pomysł, żeby porwać Boba i zmusić go do wyznania prawdy.

- Ach, pan Hale - odezwał się Swithin z charakterystycznym, angielskim akcentem. - Pana ojciec jest teraz zajęty. Właśnie przesłuchuje pańskiego brata.

Hale zaśmiał się. Wyobrażał sobie, jakie katusze musiał teraz cierpieć Bob. Ojciec nie należał do ludzi uprzejmych i cierpliwych.

- Czy staruszek wypróbował już wsadzanie szpilek pod paznokcie?

- Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne, proszę pana.

Hale skrzywił się. Swithin był równie nieporuszony, jak jego ojciec zapalczywy.

- Poproś ojca, by do mnie jak najszybciej zadzwonił.

- Tak, proszę pana.

Hale odłożył słuchawkę i wrócił do salonu, gdzie Cathy przywitała go piorunującym spojrzeniem. Jej twarz była upiornie blada.

- Szpilki pod paznokciami? - zapiszczała i cofnęła się o krok.

## *ROZDZIAŁ TRZECI*

- Pozwól, że wszystko ci wytłumaczę. Czy kiedykolwiek słyszałaś o terroryście, który karmiłby swego jeńca Chińszczyzną? Chcesz dokładkę? - zapytał, przechylając kartonowy pojemnik w jej stronę.

Na ogół nie jadła dużo, ale teraz pochłaniała kęs za kęsem, zupełnie automatycznie. Mimo jej protestów Hale zapalił kilka świec, a ich blask nadał wnętrzu przyjemną, uspokajającą atmosferę.

Biedny Bob... Czy jego także karmili chińszczyzną? Czy chociaż podali mu chleb i wodę? Był łakomczuchem i smakoszem, uwielbiał myszkować po delikatesach, choćby po to, by pogapić się na sery. Obiecała sobie, że jeśli znów zobaczy Boba, już nigdy nie będzie mu dogryzać z powodu jego obżarstwa.

Hale obserwował ją uważnie, a i Cathy co rusz na niego zerkała. Oczywiście, trudno było nie patrzeć na mężczyznę wyciągniętego na podłodze w pozie odpoczywającego greckiego boga. Migoczące świece potęgowały efekt, akcentując jego mocną szczękę i wystające kości policzkowe. Zmienił garnitur i krzykliwy krawat na prążkowane szorty i wyblakły purpurowy podkoszulek z zielonym napisem na piersi: „Delikatesy Radnisky - pyszne jedzenie”.

- Pozostały już tylko ciasteczka z wróżbą - rzekł z uśmiechem.
- Możesz zjeść moje.
- Nie chcesz swojego? - Spojrzał na nią jak na osobę niespełna rozumu.
- Puste kalorie - odparła.

Z uśmiechem skierowanym prosto w jej stronę zerwał celofanowe opakowanie, wyjął ciasteczko, przełamał je i wrzucił połówkę do ust. Nigdy nie przypuszczała, że obserwowanie kogoś jedzącego kruche ciasteczko może być takim zmysłowym przeżyciem.

Musiała być czujna. Bolesne doświadczenie ze Skippym Dewhurstem udowodniło, że była podatna na męski urok. Wtedy wyrzuciła za okno zdrowy

rozsądek, marzenia o majątku i spokojnym życiu. Potem przez sześć długich lat szukała mężczyzny doskonałego. Wreszcie znalazła Boba. Powinna skupić myśli na jego osobie, tak będzie najlepiej.

- „Twoje życie wywróci się do góry nogami”. - Hale odczytał wróżbę.

- To ciasteczko przeznaczone było dla mnie! - Cathy ukryła twarz w dłoniach.

- Czy coś nie w porządku? - Spojrzał na nią z wyraźnym niepokojem.

- Tak, moje życie zostało wywrócone do góry nogami!

- Czy Bob rzeczywiście tyle dla ciebie znaczy? - Uniósł ciemną brew.

- Oczywiście! Prawie wzięłam z nim ślub!

- Tak, ale musisz mieć jakieś życie poza nim. Gdzie pracujesz?

- W tym samym banku, co Bob - odpowiedziała sztywno.

- Co tam robisz?

- Zajmuję się pożyczkami, a to oznacza, że doskonale wiem, kiedy jestem przesłuchiwana.

- Nie lubisz, gdy ktoś cię tak wypytuje?

- A ty lubisz?

- Widać chyba, kim jestem. - Omiótł gestem pokój. - Nie mam niczego do ukrycia.

- Jesteś policjantem o poronionych pomysłach dekoratorskich, który nie zatrudnia sprzątaczkę - zgadła Cathy. - W dodatku, jak sam zdążyłeś przyznać, nie lubisz wiązać się na dłużej z żadną kobietą.

- To prawda.

Z wyraźną dezaprobatą rozglądała się po mieszkaniu. Zauważyła brak jakichkolwiek zdjęć.

- Przypuszczam, że masz rodzinę - odezwała się po chwili. - Zapewne nie utrzymujesz z nią bliskich stosunków, bo takiego mieszkania nie zaaprobowałaby żadna matka.

Uśmiech zgasł mu na ustach.

- Moja mama zmarła, kiedy byłem mały.
- Tak mi przykro, nie wiedziałam...
- W porządku - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

Ale nie było w porządku, sądząc po grymasie na jego twarzy. Chciała podejść do niego, przytulić, szepnąć słowa otuchy. To było absurdalne... Porwał ją przecież, wpędził w poważne kłopoty, a ona się nad nim rozczuła!

- Mam rodzinę - powiedział wreszcie. - Nie utrzymujemy zbyt bliskich stosunków. Nie lubię się angażować emocjonalnie.

- Moja sytuacja rodzinna jest podobna. Mam wścibską siostrę-psychologa, która nie daje mi żyć. Jestem jej ulubionym przypadkiem. - Zmarszczyła brwi. - Nawet Bob, absolutnie doskonały pod każdym względem, nie jest w najlepszych stosunkach ze swoją rodziną. W każdym razie nigdy o niej nie opowiada.

Kiedy ponownie spojrzała na Hale'a, jego oczy utkwione były w niej z taką intensywnością, że poczuła strach. Niemal czuła siłę jego mięśni. Był silny i przystojny, a jednocześnie dziwnie delikatny i wrażliwy. Mogłaby przysiąc, że istniał pomiędzy nimi jakiś magnetyczny pociąg. Jeśli obróciłaby się i nachyliła nieco bliżej w jego stronę...

Natychmiast wybiła sobie ten idiotyczny pomysł z głowy. Cóż z tego, że Hale był bardzo przystojny! Równie przystojnych było z milion innych mężczyzn. Na przykład Skippy Dewhurst. Ale nawet Skippy Dewhurst nie przyprawiał jej o palpitację serca. Może dlatego, że jej nie porwał? Joan opowiadała jej kiedyś o tak zwanym syndromie sztokholmskim, polegającym na tym, że zakładnicy nie tylko usprawiedliwiają działania porywacza, ale wręcz zaczynają go darzyć sympatią. Może padła ofiarą tego zjawiska?

- Cathy?

Poczuła rękę Hale'a na swoim ramieniu. Poderwała się na nogi. Wielkie nieba! Co się z nią działo?

Spojrzał na nią zagadkowo i powiedział łagodnie:

- Mieliliśmy porozmawiać...

- Mam dość rozmów! Chcę wreszcie zobaczyć Boba.
  - To niemożliwe - rzekł, przysiadając na piętach.
  - W takim razie chcę przynajmniej wiedzieć, co on zrobił.
  - Niedawno byłaś pewna, że nie mógłby zrobić nic złego - stwierdził nie bez satysfakcji.
  - O co więc go podejrzewasz?
  - Czy słyszałaś kiedykolwiek o czymś, co nazywane jest krojenie salami?
- Cathy wstała, czując się tak, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Krojenie salami, w języku bankowości oznaczało ściąganie małych kwot z kont klientów i deponowanie ich na innym koncie, zwykle podstawionej osoby, będącej w spółce z nieuczciwym bankowcem.
- Bob nigdy by tego nie zrobił - powiedziała z przekonaniem.
  - A gdybym cię zapewnił, że ktoś ma dowody jego winy?
  - Odpowiedziałabym, że ten ktoś się myli. Nie zamierzam nawet na ten temat dyskutować.
  - Sama chciałaś wiedzieć, co złego zrobił Bob - przypomniał jej Hale.
  - Teraz już wiem i oświadczam, że to absurd. - Była znów bardzo roztrzęsiona. - Jeśli nie mogę zobaczyć Boba ani z nim porozmawiać, to chciałabym się położyć.
  - Jeszcze nie ma wpół do siódmej.
  - To był długi dzień. - Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest wyczerpana.
  - Zaraz zadzwoni człowiek, który zlecił twoje porwanie. To może nastąpić w każdej chwili.
  - Albo, nie daj Boże, w przyszłym tygodniu. Zamierzam się położyć. - Wskazując papierowe pojemniki, spytała ironicznie: - Poradzisz sobie z naczyniami?
  - Naturalnie, jesteś moim gościem.

I jako gościowi dostarczono jej szczoteczkę do zębów. Przelotna myśl, że Hale trzymał dodatkowe szczoteczki do zębów dla kobiet, które spędzały tu noce, sprawiła, że poczuła się niezręcznie.

Nagle przypomniał jej się ojciec. Osiągnąwszy wiek średni, zaczął zmieniać panienki jak rękawiczki, podczas gdy jej matka medytowała. Cathy zastanawiała się, jak często dziewczyna Hale'a, ta, która podarowała mu poduszki z frędzelkami, spędzała tu noc...

Nie bądź głupia, ofuknęła się w duchu. Zaczęła z wigorem czyścić zęby, przypominając sobie, że nie powinno ją interesować, z kim Hale spędzał noce. Zaraz, jak on właściwie ma na nazwisko? Przyjrzała się gościnnemu ręcznikowi z monogramem. Z całą pewnością był to podarunek. Hale nie wyglądał na faceta, który kupuje piękne ręczniki z satynową lamówką w gustownym odcieniu myśliwskiej zieleni. Popatrzyła na wyhaftowane litery: KHD III.

Trzeci? Była coraz bardziej zaintrygowana. Otworzyła szafkę nad umywalką, lecz nie znalazła ani zabłąkanych kawałków waty, ani buteleczek z przedawnionymi lekami. Tylko przybory do golenia, plastry, aspiryna - wszystko starannie ustawione na trzech półeczkach. Żadnych dodatkowych szczoteczek do zębów...

Próbowała skoncentrować się na biednym, uwięzionym Bobie. Czy ten uczciwy i pracowity mężczyzna bez polotu mógł być zamieszany w jakąkolwiek podejrzaną aferę? Czysty absurd!

Tylko ta podróż na Kajmany... Hale miał rację, Bob nie należał do facetów gustujących w romantycznych spacerach po plaży. W rzeczywistości pierwotnie planowali podróż do Filadelfii, ale Bob zmienił plany w ostatniej chwili. Dlaczego? I dlaczego ktokolwiek go o coś podejrzewał? W co, do licha, Bob się wpakował?

Natychmiast odsunęła te myśli. Bob nic nie zrobił. A jednak ogarniały ją coraz większe wątpliwości. Jej narzeczony z niezwykłą starannością strzegł swej prywatności. Miał zastrzeżony numer telefonu. Unikał plotek, był przykładnym

pracownikiem, a jego nienaganne zachowanie nagradzano podwyżkami pensji i poszerzaniem zakresu odpowiedzialności, co dawało mu więcej swobody w dostępie do kont i zapisów komputerowych.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Och, Bob, myślała z żalem. Czy to mogło być prawdą? Działalność kryminalna? Krojenie salami? Słowa Hale'a odbijały się echem w jej głowie. Właściwie ile pieniędzy zniknęło? Czy podejrzewano ją o współudział?

Zaraz, spokojnie, człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. Jeśli nawet narzeczona Boba zaczynała w niego wątpić, na kogo mógł liczyć?

Była tak skupiona na swoich myślach, że w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na okno, przed którym stała. Okienko było nieduże, prostokątne, z matowego szkła, ale oglądając je bardzo uważnie, zauważyła, że dolną szybę można przesunąć w górę.

Z biciem serca wychyliła głowę. Niżej, na prawo, znajdowała się balustrada schodów pożarowych. Co za szczęście! Okno było wystarczająco szerokie, by zdołała się przez nie przecisnąć.

Odchyliła się do tyłu i przez chwilę nasłuchiwała. Hale prawdopodobnie zmywał, ponieważ z kuchni dochodził szum wody. Nie miała wiele czasu. Podciągnęła się do okna i zaczęła się przez nie przeciskać.

Ramiona przeszły bez problemu, ale biodra się zaklinowały. Wpadła w panikę. Nie mogła się cofnąć, była uwięziona w oknie. Tylko strażacy mogliby ją stąd wyciągnąć. Zdała sobie również sprawę, że zbyt optymistycznie oceniła odległość do schodów pożarowych. Znajdowały się niżej i bardziej na prawo, niż początkowo sądziła, a to oznaczało, że nawet jeśli się uwolni, będzie musiała wykonać przynajmniej dwa ruchy godne Tarzana, żeby do nich dotrzeć.

Zanim oswoiła się z nowym problemem, usłyszała dźwięk, którego najbardziej się obawiała. Pukanie do drzwi.



- Cathy? - W głosie Hale'a brzmiało zaniepokojenie. - Wszystko w porządku?

- Biorę prysznic! - zawołała.

- Co?

- Prysznic! Mam właśnie zamiar wziąć prysznic!

- Rany boskie, czy próbujesz wypełznąć przez to malutkie okienko?

- Nie! - krzyknęła, ale w tym samym momencie Hale zaczął szarpać za klamkę, a potem walić w drzwi. Usłyszała łomot, a następnie dźwięk, który spowodował, że zamarła. Hale śmiał się do rozpuku.

- Co, u diabła, wyprawiasz?

Twarz jej płonęła ze wstydu. Ależ pocieszenie musiała wyglądać w tej pozycji! Zaczęła przepychać się z całej siły, ale zanim posunęła się o milimetr, dwie mocne dłonie chwyciły ją za kostki.

- Wciągamy cię z powrotem - ostrzegł, chichocząc. A potem złapał ją za łydki i wciągnął do środka.

Hale trzymał ją w ramionach. Trzasnęła z całej siły w muskularny tors i wstrzymała oddech, patrząc w zmysłowe, iskrzące się teraz wesołością oczy. Nie podobała jej się ani pozycja, w jakiej się znalazła, ani fakt, że ten grubianin zdołał udaremnić jej ucieczkę.

- Już po raz drugi w dniu dzisiejszym mogłaś stracić życie - zbeształ ją ostro.

Miał rację, ale w tym momencie nie była w stanie myśleć logicznie. Chciała wyskoczyć z okna, byle tylko uwolnić się od towarzystwa Hale'a, a teraz była bliżej niego niż kiedykolwiek.

- I pomyśleć, że zwykle lubiłam policjantów! - obruszyła się. - Dlaczego nie zaaresztowałeś Boba i mnie, skoro podejrzewasz, że zrobiliśmy coś złego?

- Nie jesteśmy jeszcze pewni - odpowiedział, kierując się do salonu.

- Jacy „my”? Kim jesteście?! - krzyknęła. - Kim ty jesteś? Jeśli myślisz, że nie oskarżę cię...

- Nie zrobisz tego - powiedział, opadając na materac.

- Nie bądź taki pewny - ostrzegła. - Oskarżę cię o straty moralne, czy jak to się nazywa, I o spowodowanie uszczerbku na zdrowiu. Te przeżycia na pewno nie wpłyną korzystnie na wrzody Boba.

- Słuchaj, może nie powinienem tego robić, ale skoro jesteś taka uparta... -  
Z westchnieniem sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął odznakę policyjną.  
Na widok widniejącego pod zdjęciem nazwiska Cathy wstrzymała oddech.  
Kapitan Hale Delaney!

- Niemożliwe - szepnęła zdumiona. - Naprawdę nazywasz się Hale Delaney?

Skinął głową.

- Jesteś kuzynem lub...?

- Jestem starszym bratem Boba.

RS

## *ROZDZIAŁ CZWARTY*

- Bratem? - Cathy patrzyła na niego z otwartymi ustami.

Ależ oczywiście! Właściwie był podobny do Boba, tyle że bardziej umięśniony i... przystojny. Została więc porwana przez przyszłego szwagra!

Ogarnęła ją niewysłowiona ulga. Hale nie był zbrojcem ani terrorystą. Nic dziwnego, że uznała go za atrakcyjnego, po prostu przypominał jej narzeczonego.

- To zrozumiałe, że Bob nigdy o mnie nie wspomniał - wyjaśnił Hale. - Nie jestem największą chlubą rodziny.

Znów wyglądał jak mały zagubiony chłopiec. Słyszając nutę żalu w jego głosie, Cathy postanowiła go jakoś pocieszyć.

- Bob nie opowiadał mi o nikim ze swojej rodziny. Nie poznałam waszego ojca, nie odwiedziłam rodzinnego domu, nie widziałam nawet zdjęć.

Hale zniknął w sypialni i wrócił po chwili z wielkim albumem, który bez słowa wręczył Cathy.

Zawahała się. Bob musiał mieć jakieś powody, żeby ukrywać przed nią fakty dotyczące rodziny, tak samo jak ona nie rozwodziła się na temat swoich zwariowanych najbliższych.

Ciekawość zwyciężyła i Cathy otworzyła album na środkowej stronie. Pierwsze zdjęcie, które wpadło jej w oczy, przedstawiało Hale'a i Boba. Mieli po kilkanaście lat, siedzieli w dwuosobowym sportowym samochodzie przed pałacową rezydencją; starszy, Hale, trzymał kierownicę i machał ręką w kierunku obiektywu. Bob, który mógł mieć najwyżej czternaście czy piętnaście lat, już wówczas nosił druciane okulary, miał pulchne policzki i ten sam głupkowaty uśmiech na twarzy.

- Zdjęcie z wakacji? To wygląda na Anglię.

- Anglia? - zdziwił się. - Nie, to nasz dom. Cathy zamarła i spojrzała znów na rezydencję w tle.

- Chcesz powiedzieć, że wychowaliście się w tym domu?

- W rzeczywistości jest jeszcze większy.

- Ach, tak? - Rezydencja przypominała letni pałac królowej Elżbiety. -

Bob mówił, że wasza rodzina miała wytwórnię napojów...

- Czy słyszałaś kiedykolwiek o piwie Delaney? - zapytał Kto by nie słyszał? Cathy była wstrząśnięta.

- Jesteście tymi Delaneyami?! Skinął głową i uśmiechnął się.

- Bob zataił przed tobą swoje pochodzenie?

- Nigdy o tym nie wspomniał. - Cathy wzięła długi, uspokajający oddech.

- Dlaczego Bob mi o tym nie powiedział? I dlaczego został porwany przez własną rodzinę?

- Ktoś podkradał z rodzinnego konta pieniądze zdeponowane w waszym banku.

- Ale nie Bob! Nie wierzę w to!

- Ojciec również nie mógł w to uwierzyć, mimo że obaj z Bobem mieliśmy z nim w przeszłości na pieńku. Właśnie dlatego nie zwrócił się bezpośrednio do policji.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła Cathy. - Czy to, co mi przed chwilą powiedziałeś, nie przesądza o jego niewinności? Dlaczego miałby kraść, skoro odziedziczy fortunę?

- Niczego nie dziedziczymy. Stosunki z ojcem zostały definitywnie zerwane, gdy obaj z Bobem postanowiliśmy nie wchodzić w „piwny” interes.

- To okropne. Czy wasz ojciec nie uznaje wolnej woli?

- Pytasz o mężczyznę, który kazał cię porwać? - zakpił.

- To jakieś koszmarnie nieporozumienie - powiedziała Cathy. - Gdyby twój ojciec przyszedł do banku i zażądał, żeby przyjrzeni się sprawie...

- On woli inne metody działania - wyjaśnił. - Nie chce wtajemniczać osób z zewnątrz w sprawy rodziny. Zapewne uważa, że wyświadcza Bobowi przysługę, dając mu szansę oddania zdefraudowanych pieniędzy.

- Bob jest więc w Connecticut, u waszego ojca? Hale potwierdził skinieniem głowy.

- Mam nadzieję, że nic wam nie powie. Za kogo się uważacie? Porwaliście Boba w dniu jego ślubu!

- Zależało nam, by tego dnia nie spodziewano się go w pracy.

- Niezły numer z tego waszego tatusia - powiedziała Cathy, krzyżując ramiona w geście niesmaku. - Nie dziwię się, że Bob nie powiedział mi o żadnym z was! Pewnie wmówiliście biedakowi, że jestem torturowana. Szantażem zmusicie go, by przyznał się do przestępstwa, którego nie popełnił - dokończyła.

- Wciąż go bronisz? Mimo że cię okłamał?

- Nie okłamał - odparowała natychmiast. - Może i zataił niektóre informacje, ale nie wydaje mi się, byś ty spowiadał się każdej dziewczynie ze stanu konta i sytuacji rodzinnej.

- Nie, ale nigdy nie poprosiłem żadnej dziewczyny o rękę. Nie chciałem w tym uczestniczyć - przyznał po chwili wahania. - Zgodziłem się tylko przytrzymać cię z dala przez dzień czy dwa, żebyś nie zgłosiła zaginięcia na policji. Cathy poczuła ulgę. Ulgę i złość.

- Przez dzień czy dwa? Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałeś? A tak bałam się o swoje życie!

- Te obawy były uzasadnione tylko wówczas, gdy wybiegłaś na środek jezdni albo gdy próbowałaś wyskoczyć przez okno.

- Podejrzewałam, że chcesz utopić mnie w East River! - krzyknęła. - Gdybyś powiedział, że jesteś bratem Boba...

- Nawet nie wiedziałaś, że Bob ma brata - przypomniał.

- Cathy, jest mi bardzo przykro... - Przyglądał jej się bardzo uważnie.

Jej również było przykro. Przykro, że spotkała go w takich okolicznościach. Przykro, że była zaręczona z jego bratem...

- Nigdy nikogo nie porwałem - kontynuował. - Żeby cię pocieszyć, coś ci wyznam.

- Co takiego?

- Zawsze wyśmiewałem się z Boba - powiedział, przysuwając się do niej.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że będę mu zazdrościć.

Przez chwilę sądziła, że utonie w jego niebieskich oczach. Hale patrzył na nią w tak ekscytujący sposób. Nie wiedziała, co powiedzieć i gdzie spojrzeć.

Hale pochylił się do przodu. Ten ruch był prawie niedostrzegalny, ale Cathy zauważyła go. Gorący oddech Hale'a drażnił jej skórę, jego ręka spoczęła na jej dłoni. I właśnie wtedy Cathy poczuła ucisk pierścionka zaręczynowego na serdecznym palcu.

Na wspomnienie nieobecnego narzeczonego poderwała się z materaca jak oparzona. Nerwowo zaczęła wachlować się ręką. Mało brakowało, a pocałowałaby swego przyszłego szwagra! Nagle przesycony zapachem świec pokój wydał jej się nieznośnie ciasny. Potrzebowała powietrza, musiała się stąd wydostać...

Joan powiedziałyby zapewne, że Hale jest łakomym kąskiem, księciem z bajki, który przybył w ostatnim momencie, żeby uratować ją przed nudnym małżeństwem. Tak mogły myśleć kobiety, które potrafiły zakochać się w mężczyźnie od pierwszego wejrzenia. Co za głupota! Hale był idealnym partnerem dla kobiety lubiącej ryzyko, mocne wrażenia i... ekscytujący seks.

Przez moment, patrząc na niego i wciągając głęboko w płuca ciężkie powietrze, próbowała bez rezultatu przywołać w pamięci twarz Boba. Och, to straszne! Musiała wziąć się w garść.

- To wszystko nie ma sensu! - stwierdziła, cofając się, aż wpadła na stół kawowy zrobiony z deski do prasowania. Wzdrygnęła się na ten widok.

- Przykro mi, że spotkaliśmy się w takich okolicznościach, Cathy - powiedział Hale. - Chciałbym ci to wynagrodzić.

Zdała sobie sprawę, że sprawy przybrały gorszy obrót teraz, kiedy próbował być dla niej miły. Miała ochotę podbiec i rzucić mu się na szyję. Wiedziała, czym by się to skończyło...

- Możesz mi to wynagrodzić - odparła, unikając jego wzroku.

- Jak?

- Zabierz mnie do Boba.

- Teraz? - Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Chcę porozmawiać z twoim ojcem. Na pewno uda mi się go przekonać, że Bob nie miał nic wspólnego z matactwami w banku.

- Nie znasz mojego ojca. Niełatwo się z nim dogadać.

- Zdażyłam się zorientować. - Skrzyżowała ramiona. - Jeżeli jest w stanie porwać dwoje ludzi, opierając się jedynie na słowach jakiegoś księgowego... -

- Księgowy mówił prawdę - powiedział Hale.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ ojciec go zwolnił.

- Zwolnił człowieka, ponieważ ten dobrze wykonał swoją robotę, znajdując nieprawidłowości w księgach? To okropne! Nie wierzę!

- Taki jest ojciec. Nie chce słyszeć o niczym nieprzyjemnym. I nie chce, żeby złe wiadomości przedostały się na zewnątrz.

- Jestem pewna, że sobie z nim poradzę. Gdy tylko usiądziemy z Bobem nad księgami, spróbujemy rozwikłać zagadkę.

- Chcesz jechać dzisiaj? - Hale westchnął. - Nie możesz poczekać?

- Muszę zobaczyć Boba! - Wiedziała, że zachowuje się jak rozkapryszone dziecko, ale tylko w ten sposób mogła odpędzić natrętne i jakże niebezpieczne myśli o Hale'u. - Potrzebuję Boba! - krzyknęła bliska hysterii, opadając na krzesło.

- W porządku, uspokój się. Zabiorę cię do Connecticut.

- To najbardziej niewygodny wehikuł, jakim kiedykolwiek podróżowałam  
- oświadczyła Cathy, rozglądając się z niesmakiem po ciemnym wnętrzu małego dżipa.

Rzeczywiście, samochód był niewygodny. W dodatku siedziała zgarbiona przy oknie, starając się trzymać jak najdalej od Hale'a. Czy naprawdę podejrzewała, że ją zaatakuje?

Powinien odczuwać ulgę, wioząc Cathy do Connecticut. Mógłby teraz powiedzieć ojcu, że wykonał swoją część zadania i wycofuje się ze sprawy. Zamiast tego, był niezadowolony i rozgoryczony.

- Dlaczego siedzenie pasażera jest po przeciwnej stronie? - zapytała.

- To stary samochód pocztowy. Można taki wygrać, śpiewając piosenki na aukcjach rządowych.

Popatrzyła na niego jak na wariata.

- Chcesz nas tym dowieźć do Connecticut?

- Mam taką nadzieję - powiedział Hale z udawanym powątpiewaniem.

- Mówiłam ci, że powinniśmy pojechać pociągiem - marudziła.

- Pozwolę sobie przypomnieć, że siedzimy w tym dżipie tylko z powodu twojego wybuchu hysterii. Nie można, jak widać, spodziewać się po tobie nawet odrobiny wdzięczności.

- Nie lubisz słuchać krytyki? - powiedziała z irytacją.

- Mógłbyś się postarać o trochę wygodniejszy pojazd.

- Można by pomyśleć, że wychowywałaś się w luksusie.

- Dopiero w wieku osiemnastu lat zamieszkałam w domu z klimatyzacją - odparła szybko. - A do dziesiątego roku życia spałam w jednym pokoju z czterema innymi dziewczynkami, z których jedna była moją siostrą. Jeśli chodzi o samochody...

- Wyobrażam sobie - przerwał jej z uśmiechem. - Maszerowałaś pięć kilometrów do szkoły, upał czy śnieg. Catherine Seymour, jesteś nieznośna.



- Na chrzcie nadano mi imię Blossom - powiedziała z dumą, jakby życie z takim imieniem wróżyło pasmo sukcesów.

Hale gwałtownie oderwał wzrok od drogi i spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Blossom?

- W rzeczywistości moje pełne imię brzmiało Blossom Drop Seymour.

Patrzył na jej profil i czuł, że złość mu powoli mija. Właściwie nie wściekał się na nią, tylko na siebie. Zbyt go pociągała, a to nie wróżyło nic dobrego. Ta kobieta będzie przecież żoną jego brata.

- Jak to się stało, że teraz nazywasz się Cathy? - zainteresował się.

- Kiedy miałam osiemnaście lat i opuściłam dom rodzinny, przestudiowałam szkolny album i wybrałam najbardziej pospolite imię. - Wzruszyła ramionami.

- A ja myślałem, że tylko mnie było źle...

- Jaki miałeś problem?

- Nie miałem problemów - odparł z uśmiechem.

- A więc...?

- W tym sęk. - Wiedział, że zabrzmiało to dziwnie. - Wszystko, czego zapragnąłem, przynoszono mi na tacy. Mój ojciec zawczasu usuwał z drogi wszelkie przeszkody. Gdy nauczyciel chciał mnie ukarać, ojciec dopilnował, żeby mi się upiekło. Kiedy nie zakwalifikowałem się do szkolnej drużyny, zapewnił mi w niej miejsce. Tato jest jednym z tych władczych, nadopiekuńczych rodziców.

- A więc marzyłeś, by zostać zwyczajnym człowiekiem, obarczonym prawdziwymi problemami normalnego życia. - Ironicznie wykrzywiła usta. - Jakież to szlachetne z twojej strony!

To było trochę głupie, ale zrobiło mu się przykro, że wyśmiewa się z jego młodzieńczych problemów.

- Nie rozumiem, dlaczego wydaje ci się to bardziej żałosne od twojego fanatycznego dążenia do normalności.

- Fanatyzm! - parsknęła. - Tylko dlatego, że chciałam mieć uporządkowane życie?

- Wyjaśnij mi jedną sprawę. Jeśli z dzieciństwa wyniosłaś tyle urazów, że uciekłaś z rodzinnego domu, dlaczego, na Boga, tak się zaparłaś, żeby poślubić Boba?

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

- Rodzina, którą Bob i ja stworzymy, będzie całkiem inna niż ta, w której wyrosłam. Potrafimy żyć w sposób uporządkowany. - Uniosła brodę. - Kiedy moje dzieci dorosną, będą mi dziękować za dobrze wykonaną robotę.

- Nie liczylibym na to. - Obrzucił ją przelotnym spojrzeniem. Czy kobieta, która potrafi odważnie wybiec na ruchliwą ulicę Manhattanu i mocno uderzyć porywacza, mierzącego do niej z broni, rzeczywiście zrealizuje się jako wzorowa pani domu? - Naprawdę uważasz, że małżeństwo z Bobem da ci wszystko, czego pragniesz?

Wyprostowała ramiona i spojrzała przed siebie.

- Tak.

- Nie wierzę, a co więcej, nie wydaje mi się, żebyś sama w to wierzyła.

- Cóż ty możesz wiedzieć? Przecież mnie nie znasz.

- Założę się, że oszukujesz samą siebie.

- Absurd! Czy właśnie nie jadę do Boba, ponieważ nie mogę wytrzymać bez niego choćby jednej nocy?

Spojrzał na nią sceptycznie.

- Może po prostu nie ufasz sobie na tyle, by spędzić noc z dala od niego... Nie martw się, nie jestem durniem. Wiem, o co chodzi. Marzyłaś o poślubieniu kogoś solidnego tak długo, że nie możesz już wyobrazić sobie innego życia.

Gwałtownie odwróciła głowę.

- Jesteś arogancki! I tylko dlatego, że nie zainteresowałam się tobą. Nawet nie potrafisz się ubrać...

Hale roześmiał się.

- Jak rozumiem, Bob nosi wyłącznie markowe ciuchy - zakpił.
- Przynajmniej potrafi gustownie skompletować swoje ubranie.
- Ja wolę swobodniejszy styl.
- Nie potrzeba wielkiego wysiłku, by dobrze wyglądać - wyjaśniła. - Na przykład szorty khaki pasowałyby dobrze do twojej... kolekcji podkoszulków.
- Młoda damo, doprawdy, rozśmieszasz mnie.
- Nie widzę nic zabawnego w braku dobrego gustu.
- Gust to rzecz subiektywna - przypomniał. - Nie jesteś wyrocznią.
- Większość ludzi przyznałaby mi rację.
- Och, w porządku, zapomniałem. Postępujesz zawsze zgodnie z wolą większości.

Następne pół godziny spędzili w grobowej ciszy. Co się ze mną dzieje, zastanawiał się Hale. Boże, kiedy wreszcie wypłaczę się z tego galimatiasu?

Nie powinien mieszać się w sprawy rodzinne.

Przypomniał sobie sprawy i emocje, o których wolałby zapomnieć. Na przykład ojciec... Wystarczyło, że usłyszał jego głos, a już odczuwał niepokój i znów ogarniało go poczucie winy, że sprawił staremu zawód. A właściwie dlaczego? Czy popełnił przestępstwo, postanawiając zostać policjantem i żyć normalnym, własnym życiem?

W miarę zbliżania się celu, był coraz bardziej rozdrażniony. Boże, nie miał ochoty na rozmowę z ojcem. Czuł się tak, jakby wchodził wprost do jaskini lwa.

A Cathy? Co może jej się stać? Czy zdawała sobie sprawę, że za chwilę rozstaną się na zawsze? Ukradkiem zerknął w jej kierunku.

- Wkrótce będziemy na miejscu. Skinęła tylko głową.

- Ja już nie będę potrzebny - powiedział. - Wyjadę wcześniej rano.

Siedziała w milczeniu, nerwowo obracając zaręczynowy pierścionek na lewej ręce.

Do cholery! Nie spodziewał się, że będzie rozpaczała. Skoro jednak nie mogła powiedzieć mu nic miłego, niechby przynajmniej powiedziała coś nieuprzejmego - jakieś nieopatrzone słowo, które rozpamiętywałby potem z urazą. Może dzięki temu przestałby wreszcie żałować, że jej nawet nie pocałował...

- Powiedz mi - zaczął zadziornie - czy w tym pięknym, uporządkowanym życiu z Bobem znajdzie się miejsce na odrobinę namiętności?

Pokręciła głową, ze zdumienia otwierając usta.

- Nie twój interes!

- Po prostu byłem ciekaw - przyznał. - Mimo wszystko

Bob jest moim bratem. Nie zniósłbym tego, że padł ofiarą jakiejś sprytnej łowczynie bogactw.

- Wiesz, że taka nie jestem! Roześmiał się z cicha.

- Podczas naszych dyskusji ani słowa nie usłyszałem o miłości czy namiętności, jaką żywisz do Boba.

Zacisnęła szczęki i rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Szanuję Boba.

- Wiem, że jest prawdziwym wzorem cnót - powiedział Hale, zatrzymując samochód przed bramą posiadłości Delaneyów i opuszczając szybę w dżipie, aby wprowadzić numer kodu. - Ale czy czujesz do niego pociąg seksualny?

- Pociąg? - zdziwiła się Cathy. - Nie jesteśmy już nastolatkami. Bob i ja jesteśmy ponad to.

- Hmm - mruknął Hale, gdy jechali krętą aleją wjazdową po obu stronach porośniętą drzewami.

Rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

- Bob i ja pobieramy się. Darzymy się nawzajem głębokim uczuciem.

Nie omieszkał zauważyć, że nie użyła ani słowa miłość, ani namiętność.

- Powiedz mi, czy kiedy wyobrażasz sobie wasze perfekcyjne życie, to oczami duszy widzisz podwójne łożo małżeńskie i zmiętą pościel?

- Nie myślę w ogóle o takich rzeczach! - zaprotestowała. A kiedy zaczęła się śmiać, splonęła rumieńcem. W końcu wbiła wzrok w przednią szybę i skrzyżowała ramiona. - Odmawiam dyskusji na ten temat!

- W porządku. - Przynajmniej nie udawała, że przeżywa z Bobem wielki, płomienny romans.

Do licha, przez następne tygodnie będzie myślał o pięknej Cathy, uwięzionej w pozbawionym namiętności małżeństwie. Szkoda, że nie skłamała...

- Jesteśmy na miejscu - powiedział ponurym tonem, wjeżdżając na oświetlony podjazd przed domem.

Błyskawicznie wysiadła z samochodu. Stała teraz nieruchomo i pogwizdując pod nosem, gapiała się na imponującą fasadę rezydencji.

- Litości! Ilu ludzi tu mieszka?

- Mój ojciec i trzynaścioro służby.

Zbliżyli się do frontowych drzwi, ale nim zdążyli wejść na pierwszy stopień schodów, otworzyło się jedno z okien na górze.

- Cathy!

Cathy cofnęła się o kilka kroków i spojrzała na pierwsze piętro, skąd machał do nich Bob.

- Bob! - Cathy wspięła się na place i pomachała w odpowiedzi.

- Wzruszająca scena balkonowa! - Hale zdobył się na wymuszony uśmiech.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie i znów skupiła uwagę na narzeczonym.

- Bob, czy wszystko w porządku?

- Ojciec zamknął mnie w moim pokoju - poskarżył się.

- A mnie kazał porwać!

Zanim Bob mógł cokolwiek odpowiedzieć, otworzyły się frontowe drzwi i stanął w nich Kevin Delaney we własnej osobie.

- Co tu się dzieje? - ryknął gburowato, patrząc groźnie na przybyłych.

Na dźwięk donośnego barytonu ojca Bob zniknął, zatrzasnąwszy z impetem okno. Cathy z niepokojem, a zarazem ze zdumieniem patrzyła na mężczyznę stojącego w drzwiach. Bardzo drobnego mężczyznę.

Hale uśmiechnął się, obserwując jej reakcję. Kevin Delaney był prawdziwym irlandzkim Napoleonem. Przy wzroście niewiele przekraczającym sto sześćdziesiąt centymetrów przypominał brodatego karzełka. Jednak dysponował imponującym głosem, a jedno lodowate spojrzenie niebieskich oczu mogło zmiażdżyć każdego.

Cathy rzuciła Hale'owi nerwowe spojrzenie.

- Cathy Seymour, poznaj swojego przyszłego teścia - powiedział Hale swobodnie.

Stary Delaney zszedł trzy stopnie w dół.

- Och, a więc ty jesteś narzeczoną Boba? - To nie było zwykłe pytanie, lecz kategoryczne żądanie odpowiedzi. - Myślisz, że uda ci się uwolnić uwięzionego na wieży kochanka? - zadrwił.

Cathy zamruwała oczami.

- Ojciec bardzo się cieszy, że może cię poznać - wytłumaczył Hale, śmiejąc się z cicha.

- A ty - zagrzmiał Kevin, zwracając miażdżące spojrzenie na starszego i bez wątpienia mniej udanego syna - co ty tutaj robisz?

Hale wzruszył ramionami, wiedząc, że tylko nonszalancja może go uratować. Miał trzydzieści cztery lata, ale ojciec wciąż jeszcze potrafił obudzić w nim buntowniczą naturę nastolatka.

- Ta dama chciała zobaczyć się z Bobem. Twarz starego Delaneya przybrała kolor burgunda.

- Na litość boską, człowieku, podobno jesteś policjantem! Czy nie potrafisz zatrzymać dziewczyny w areszcie przez jeden dzień?

- Przepraszam bardzo - wtrąciła Cathy, śmiało wysuwając się do przodu. - Po pierwsze nie jestem dziewczyną! Po drugie nie może pan w ten sposób traktować ludzi - porywać ich i więzić! Postępuje pan jak despota!

- No, no! - zagadkał Kevin z pewnym podziwem. - Bob nie wspominał, że taka z ciebie odważna panienka!

Cathy zrobiła następny krok w stronę Kevina Delaney'a i zmierzyła go piorunującym spojrzeniem.

- Wypraszam sobie takie traktowanie! Żądam widzenia z Bobem!

- Bob został zamknięty w swoim pokoju i pozostanie tam, dopóki nie przyzna się do winy.

- Bob jest niewinny!

- W takim razie niech wytłumaczy, gdzie się podziały moje pieniądze - upierał się Kevin.

- To niedorzeczne. Zabieram Boba i wracamy na Manhattan! -

Zdecydowana zaatakować twierdzę, pomaszrowała naprzód, mijając Kevina.

Ojciec Hale'a podniósł władczą rękę i pstryknął palcami.

- Swithin! Oliver!

Jak spod ziemi pojawiło się dwóch mężczyzn - kamerdyner i ogrodnik, obaj w koszulach nocnych i pantoflach.

Kevin wskazał na Cathy, która wkroczyła już do holu i zmierzała w kierunku schodów.

- Zaprowadźcie naszego gościa do sypialni Moneta!

Cathy odwróciła się, gdy silne dłonie zacisnęły się na jej ramionach.

- Macie zamiar mnie zamknąć? - Zamrugła oczami. Kevin wspiął się na palce i krzyknął w uniesieniu:

- Czy to moja wina, że mam takie niewydarzone potomstwo! - Zarechotał szyderczo, kierując wzrok na Hale'a. - Patrzcie państwo, oto policjant we własnej osobie!

Cathy, wciągana na górę przez służących w nocnych koszulach, oszołomiona i wściekła, rzuciła jeszcze Hale'owi błagalne spojrzenie.

- To jest barbarzyństwo! Czy nie zamierzasz nic powiedzieć w tych okolicznościach?

Mogli zostać na Brooklynie, ale sama chciała tu przyjechać...

- Witaj w rodzinie! - rzucił kpiąco.

## *ROZDZIAŁ PIĄTY*

- To skandal! - krzyczała Cathy, choć pewnie i tak nikt jej nie słyszał.

Z westchnieniem opadła na szerokie łóżko, przykryte kwiecistą narzutą i rozejrzała się po wnętrzu. Perkalę w kwiatowe wzory, jedwabne pasiaste draperie, krzesła w stylu królowej Anny... A przede wszystkim obraz w złoczonej ramie, przedstawiający stogi siana. Czyżby autentyczny Monet? W takim pokoju można się przyjemnie zrelaksować, ale Cathy była zbyt rozgniewana, zbyt wściekła, by myśleć o wypoczynku.

A więc znalazła rodzinę bardziej zwariowaną od jej własnej! Kiedy Hale opowiadał o ojcu, wyobrażała sobie niegroźnego dziwaka o nienagannych manierach. Nie spodziewała się brodatego gнома o despotycznym charakterze, który natychmiast ją uwięzi. Nic dziwnego, że Bob i Hale czmychnęli z domu, gdzie pieprz rośnie. Kevin Delaney odnosił się do swoich dorosłych synów, jakby wciąż byli nieodpowiedzialnymi młokosami. Aż dziw, że Bob i Hale wyszli na ludzi i nie trafili do kryminału...

Do kryminału? Och, Bob!

W normalnych warunkach Bob Delaney nie był zdolny do zrobienia czegoś nielegalnego. Ale w tym domu nic nie wydawało się normalne. Szczerze mówiąc, po jednym spotkaniu z Delaneyem seniorem, nawet ona z rozkoszą



zrobiłaby mu coś złego. Oczywiście, Hale też nie był bez winy. Powinien ją ostrzec, zamiast wypytywać o jej upodobania seksualne!

Opadła na poduszki, czując tętniącą w żyłach krew. Prawdę mówiąc, nie miała z Bobem zbyt wielu erotycznych doświadczeń. Gdy na samym początku znajomości Bob chciał się z nią przespać, zaprotestowała w obawie, że sprawy posuwają się zbyt szybko. Bob nigdy już nie odzyskał śmiałości, po prostu przestał nalegać. Pocieszała się, że w podróży poślubnej, na rajskiej, romantycznej wyspie, sprawy same się ułożą.

Mogła sobie wyobrazić, jaką satysfakcję odczułby Hale, gdyby odkrył, że ziarno wątpliwości, jakie posiał, padło na żyzny grunt. Nie miał prawa jej porywać ani zadawać osobistych pytań, ani tym bardziej zalotnie strzelać tymi swoimi niebieskimi oczami...

Dobry Boże! Czyżby czuła pociąg do niewłaściwego brata? Wyprostowała się jak struna. To niemożliwe... Oczywiście, że bardziej pragnęła Boba...

A jednak, kiedy zamykała oczy, próbując się uspokoić, twarz, którą widziała, należała do Hale'a. I to Hale'a pragnęła całować.

Spróbowała skoncentrować się na Bobie.

Przede wszystkim powinna go odnaleźć. Spojrzała ze złością na zamknięte drzwi. Straciła całe dziesięć minut, waląc w nie jak szalona. Ani w łazience, ani w garderobie nie było drzwi wyjściowych. Pozostawało okno.

Wstała i wyjrzała na zewnątrz. Była na pierwszym piętrze - dostatecznie wysoko, by połamać sobie kości, a nawet skrzyć kark.

Jednak za oknem był ceglany występ, szeroki mniej więcej na dwadzieścia centymetrów. Bez namysłu otworzyła okno i wygramoliła się na zewnątrz. Wciąż miała na sobie ślubny kostium i eleganckie pantofelki, które były bardzo wygodne, lecz z pewnością nie nadawały się do górskich wspinaczek.

Dopiero kiedy zrobiła kilka kroków wzdłuż występu, zaczęła się zastanawiać nad szczegółami swego planu. Nie miała pojęcia, gdzie uwięziono Boba. Równie dobrze mógł być w następnym pokoju, jak i po drugiej stronie domu! Wzięła głęboki oddech i zaryzykowała spojrzenie w dół. Widok przyprawiał o zawrót głowy. Znajdowała się wysoko ponad sterczącymi w górę kolczastymi gałęziami krzaków.

Zaczerpnęła powietrza i zaczęła przesuwać się szybciej. Dotarła do sąsiedniego okna i popatrzyła przez szybę. Odetchnęła z ulgą, widząc postać śpiącą na szerokim, podwójnym łożu. Mężczyzna był zbyt duży jak na Kevina. Dzięki Bogu! Ku swej radości zauważyła na nocnym stoliku okulary w drucianej oprawce.

Kiedy pociągnęła za okiennicę, ta otworzyła się tak łatwo, że nagły ruch lekko odrzucił Cathy do tyłu. Zachwiała się niepewnie, tracąc pantofel w walce o odzyskanie równowagi. Z głuchym łoskotem spadła na drewnianą podłogę. Bob, który smacznie chrapał, obrócił się z grymasem niezadowolenia na twarzy.

Drogi Bob! Jakże za nim tęskniła! Wdrapała się na łóżko, wślizgnęła pod prześcieradło i przywarła do pleców swojego narzeczonego. Czując ciepło i przyzwolenie, przytuliła się doń mocniej. O dziwo, Bob, ubrany jedynie w bokserki, wydał jej się nagle bardziej muskularny, bardziej męski.

- Hej, Pączusiu - mruknęła zmysłowo - zgadnij, kto to?

Wstrzymał oddech, ale nie odpowiedział.

Sprawiła mu niespodziankę. Zadowolona, przysunęła się bliżej i zaszczębiotała:

- Wiem, że nie śpisz. - Przytuliła się i zmarszczyła brwi. Łysinka na głowie Boba nie mogła zarosnąć w ciągu jednego dnia, prawda? Serce przestało jej bić, kiedy mężczyzna odwrócił się i zobaczyła znajomą parę niebieskich oczu.

- Pączusiu? - Hale uniósł brwi.

Cathy zaczerwieniła się. Oderwała rękę od muskularnego ramienia, jakby niechcący dotknęła wstrętnego robaka.

- Co ty tu robisz?

- Spałem smacznie. A co ty tutaj robisz?

- Myślałam, że jesteś Bobem! Chrapiesz tak jak on!

- Ja nie chrapię - zaprotestował z urazą.

- Skąd się tu wzięły okulary Boba? - spytała niecierpliwie.

- Są moje, używam ich do czytania. - Uśmiechnął się. - Czy naprawdę nazywasz go Pączusiem?

- Mniejsza z tym.

Hale popatrzył na otwarte okno, potem z powrotem na Cathy.

- Jak się tu dostałaś?

- Przeczółgałam się za oknem.

Usiadł i spojrzał na nią karcącym wzrokiem.

- Czy ty jesteś nienormalna?

- Nienormalna? I kto to mówi! Twoja rodzina pod tym względem bije wszelkie rekordy!

- Ostrzegałem cię.

- Nie wspomniałeś, że twój ojciec każe mnie uwięzić, gdy tylko pojawię się na stopniach jego domu.

- Jak widać powinien zastosować więcej środków ostrożności!

- Przyjechałam tu zobaczyć się z Bobem i dopnę swego.

- Mogłaś się zabić!

- Ale nic mi się nie stało.. A teraz, bądź tak uprzejmy, wypuść mnie ze swoich łap i zaprowadź do Boba.

Nie posłuchał, tylko wciąż na nią badawczo patrzył. Czowała się coraz bardziej niezręcznie. Oto leżała w łóżku z mężczyzną, który nie był jej narzeczonym, mężczyzną, który miał na sobie tylko bokserki. Jak mogła zakraść się do łóżka niewłaściwego Delaney?!

- Byłaś pewna, że jestem Bobem? - szepnął prowokacyjnie, uśmiechając się.

- Oczywiście! Czyżbyś sugerował, że to tobie chciałam wskoczyć łóżka?

- Może nieświadomie, ale... - Zaśmiał się cicho.

- Nie pleć bzdur. Panuję nad swoją podświadomością.

- Nie gniewaj się. - Posłał jej kolejny zmysłowy, szeroki uśmiech. -

Musisz przyznać, że pasujemy do siebie.

Był ciepły, silny, miał takie magnetyczne spojrzenie... Czyżby czuła do niego... pociąg? Instynktownie odgadła, co za chwilę się wydarzy, ale nie miała najmniejszej ochoty temu zapobiec.

Mocniej chwycił ją w ramiona, a potem lekko dotknął ustami jej warg. Zadrżała z rozkoszy i przytuliła się do niego mocniej. Oplotła ramionami jego szyję i zaczęła pieścić gołe, muskularne plecy.

Nikt jej jeszcze tak cudownie nie całował. Na moment przestała myśleć o czymkolwiek, w zapamiętaniu oddając pieszczotę, marząc, by ta chwila trwała jak najdłużej...

Przez pół dnia opierała się tej pokusie, a teraz nie czuła żadnych hamulców. Nikt nie dostarczył jej tyle przyjemności. Od tamtego weekendu, kiedy to...

Skippy!

Oderwała się od Hale'a i objęła dłońmi swoje rozpalone policzki.

- Och, Boże!

- Cathy, co się stało? - Hale ponownie wziął ją w ramiona. Wszystko!

Była tak przerażona tym, co zaszło, że zaniemówiła. Jak mogła tak dać się ponieść?

Pochylił się nad nią, uważnie patrząc w jej oczy.

- Nie możesz zaprzeczyć, że coś nas ku sobie popycha. Zaczerwieniła się, podniosła brodę, zachowując tyle godności, na ile jeszcze była w stanie się zdobyć.

- Związek dwojga ludzi wymaga czegoś więcej niż fizycznej fascynacji. Musi nastąpić spotkanie dusz. - Spojrzała na niego groźnie. - Sytuacja jest poważna. W dniu mojego ślubu znalazłam się w łóżku z nagim mężczyzną, którego spotkałam dziesięć godzin temu!

- Pomyśl raczej, że uniknęłaś okropnej pomyłki poślubienia niewłaściwego mężczyzny.

- Pomyłki? - zapytała ze stężoną twarzą. - Jedyna pomyłka, jaką popełniłam, miała miejsce właśnie teraz.

- Wciąż zamierzasz wyjść za mąż za Boba? - Wyglądał na zmieszanego.

- Oczywiście!

- Nie mogę w to uwierzyć. - Potrząsnął z niedowierzaniem głową. -

Dlaczego?

Miał podstawy obawiać się, że jego brat poślubi nie zrównoważoną osobę. Należało mu się wyjaśnienie. Cathy wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Zrozumiałbyś, gdybyś wiedział o pewnej przygodzie, która przytrafiła mi się dawno temu.

- Przygoda? - Był wyraźnie zaciekawiony. Wiedziała, że nie ma wyboru i musi wyznać swój największy, mroczny sekret.

- Nigdy nie powiedziałam nikomu o Skippym.

- Skippy? - Hale zmrużył oczy. Kiwnęła głową.

- Skippy Dewhurst - wypowiedziała posępnym głosem imię, które nadal budziło lęk. - Widzisz, chodziłam z pewnym chłopakiem w college'u. Mieliliśmy zamiar wziąć cichy, spokojny ślub i osiedlić się w Richmond, gdzie mieszkała jego rodzina.

- Twój narzeczony miał na imię Skippy? Pokręciła głową.

- Nie, Skippy był jego najlepszym przyjacielem, z bractwa studenckiego. Bardziej szalony od większości chłopców z college'u i bardziej utalentowany artystycznie... Grał na gitarze akustycznej.

- Czy grał muzykę w stylu folk?

- Tak, miał nawet śpiewać na moim ślubie. I nagle, w noc przed ceremonią, wypiliśmy trochę za dużo i, zanim się zorientowałam...

Hale pokiwał głową.

- Obudziłaś się w łóżku ze Skippym. Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

- To było okropne! W dniu ślubu uciekłam do Meksyku z najlepszym przyjacielem mojego narzeczonego!

- Przynajmniej nie poślubiłaś mężczyzny, którego nie kochałaś - stwierdził Hale.

- Nie kochałam również Skippy'ego - przyznała ze smutkiem. - A on, kiedy zaproponowałam, żebyśmy zostali razem choć na pewien czas, po prostu wybuchnął śmiechem. I jeszcze tego samego dnia zastawił mnie samą w Tijuanie!

- Myślisz, że jestem podobny do Skippy'ego?

- Niezupełnie... - Hale był gorszy. O wiele gorszy, ponieważ naprawdę jej się podobał. - Czy ty tego nie widzisz? - zapytała. - Muszę mieć w sobie jakiś niewłaściwy gen! Całe życie chciałam się ustatkować, być normalną, szczęśliwą kobietą, ale ilekroć zbliżam się do celu, coś we mnie pęka! Tym razem nie mogę sobie na to pozwolić. Nie powiesz Bobowi, prawda?

- Nie. Myślisz, że nasz pocałunek jest czymś, o czym możesz łatwo zapomnieć?

- To był tylko pocałunek - powiedziała niepewnie. - Muszę wyjść za mąż za Boba. Życie, jakie razem zaplanowaliśmy, jest dla mnie wszystkim. Mieliśmy się przenieść na Long Island. Wreszcie miałabym prawdziwy dom, miłych sąsiadów...

- Jesteś beznadziejna, wiesz? - powiedział, potrząsając głową z irytacją. Sięgnął po szorty i zaczął się ubierać.

- Dlaczego? Tylko dlatego, że marzę o spokojnym życiu?

- Nie myśl, że próbuję cię skłócić z Bobem - mruknął.

- Byłem jeszcze w półśnie, kiedy cię całowałem.

Przełknęła tę gorzką pigułkę. Starła się nie patrzeć na jego usta. Jeśli potrafił tak całować w półśnie, można sobie wyobrazić, czego dokonałby po dwóch filiżankach mocnej kawy!

- Poza tym to ja cię tutaj przywiozłem - przypomniał. - Mam już po dziurki w nosie tej afery.

- W porządku... Im szybciej wyjaśnimy tę sprawę, tym lepiej. - Im szybciej uwolni się od Hale'a, tym lepiej.

Przez otwarte okno dobiegł szmer nadjeżdżającego samochodu. Cathy spojrzała pytająco na Hale'a.

- To prawdopodobnie szofer, Tony - wyjaśnił. - Grywa w karty do późna w noc.

- Może mógłby zabrać mnie i Boba do miasta?

- Z powrotem na Manhattan? - zapytał Hale. - Dziś w nocy?

- Nie spodziewasz się chyba, że zostaniemy tu choćby dzień dłużej, prawda?

Oczywiście, że się spodziewał.

- Mogę was odwiedzić - zaproponował.

- Wolałabym...

Jej słowa zagłuszyły czyjeś głosy i głośnie kroki. Po chwili drzwi gwałtownie się otworzyły i czterech mężczyzn wtargnęło do pokoju.

Jednym z nich był Kevin Delaney. Obok stał Swithin, kamerdyner, za nimi dwóch policjantów.

- W porządku! - wykrzyknął jeden z policjantów i ruszył w stronę Cathy. Cofnęła się instynktownie, ale znalazła się w żelaznym uścisku Hale'a.

- Ręce do góry, młoda damo.

- Co to wszystko ma znaczyć? - obruszyła się gwałtownie.

Kevin trącił Hale'a łokciem i puścił doń oko.

- Nocny strażnik zauważył intruza na występie biegnącym wzdłuż okien - powiedział.

- Musiała wejść tędy, proszę pana - odezwał się policjant, który stał przy oknie. Następnie przeszedł przez pokój i zakuł Cathy w kajdanki.

- Proszę zaczekać! - krzyknęła histerycznie. - Nie rozumie pan, o co tutaj chodzi, oficerze. To ja jestem ofiarą.

- Z pewnością - odpowiedział policjant drwiąco. - Jest pani aresztowana za włamanie i najście, młoda damo.

- Ależ to absurd! Jestem tu zakładniczką, podobnie jak Bob Delaney.

Policjant zmarszczył brwi.

- Delaney jest synem gospodarza, młoda damo.

- Proszę zapytać Boba! Oboje zostaliśmy porwani. Widząc jej furję, Kevin Delaney potrząsnął głową z udawanym współczuciem.

Hale puścił jej ramię i patrzył na nią w zagadkowy sposób. Co się działo? Czy nie zamierzał jej pomóc?

- Proszę mi wierzyć - Cathy przekonywała policjanta. - Bob jest moim narzeczonym. Przybyłam mu na ratunek.

Kevin wspiał się na palce i wyjaśnił:

- To zdarza się nie po raz pierwszy. One wszystkie twierdzą, że są narzeczonymi Boba.

- Ja jestem narzeczoną Boba!

- W takim razie, co pani robi w pokoju jego brata? - zapytał policjant.

- Pomyliłam się... Nie wiedziałam, w którym pokoju jest uwięziony Bob...

Policjanci wymienili powątpiewające spojrzenia. Cathy zrozumiała, że przegrała tę bitwę. Kevinowi Delaneyowi udało się zrobić z niej kompletną wariatkę.

- Jestem normalna i zawsze przestrzegam prawa! - Usiłowała jeszcze protestować, patrząc błagalnie na Hale'a. - Tych dwóch trzeba aresztować!

Policjant zignorował jej radę i zwrócił się do Kevina:

- To samo przydarzyło się Lettermanowi. Te kobiety stają się coraz bardziej agresywne i sprytne.



Cathy utkwiała w Hale'u spojrzenie pełne złości.

- Dlaczego nie powiesz im prawdy?! - krzyknęła z rozpaczą.

Uśmiechnął się do niej lekko, pobłażliwie, po czym powiedział do policjanta:

- Ta biedna dziewczyna jest szalona. Ale nieszkodliwa. - Następnie zwrócił się do ojca: - Nie będziemy chyba wnosić oskarżenia, prawda, tato? Jeśli wróci tam, skąd przyszła...

Kevin Delaney podrapał się w białą brodę.

- Gdyby obiecała, że natychmiast sobie pójdzie... Oficer spojrzał srogo na Cathy.

- Gdzie pani mieszka, młoda damo?

- Na Manhattanie! - parsknęła, czerwona z gniewu. Policjant skinął głową.

- Załatwimy to dla pana, panie Delaney. Nie będzie pan więcej niepokoiony.

Kevin Delaney skłonił głowę.

- Doceniam waszą pomoc. - Następnie spojrzał z ukosa na Cathy. - Cóż za bezczelne zachowanie! Powinnaś się wstydzić, panienko!

- Jeszcze mnie popamiętacie! - odgrażała się Cathy, kiedy wyciągano ją z pokoju. Jeden rzut oka na ślubny kostium wystarczył, żeby uzmysłowiła sobie, dlaczego policjanci tak łatwo uznali ją za wariatkę. Spódnice miała rozdartą i pogniecioną, zakiet poplamiony, a pończochy pełne oczek.

Jak to wszystko mogło jej się przydarzyć? Zawsze starała się unikać kłopotliwych sytuacji i niczym się nie wyróżniać. Rzuciła pożegnalne, miażdżące spojrzenie Hale'owi. Dlaczego nagle wziął stronę ojca? Czowała się opuszczona, zdradzona i piekielnie wściekła.

- Znajdźcie mój drugi but! - warknęła, gdy wyprowadzano ją przez frontowe drzwi.

Policjant odnalazł pantofel w gęstwinie krzaków.

- Dokąd mnie zabieracie? - zapytała, gdy pakowali ją do samochodu. - Na posterunek?

Policjant zarechotał.

- Pan Delaney był na tyle łaskawy, że nie wniósł oskarżenia. W dodatku kupił pani bilet na Manhattan, w jedną stronę, oczywiście. Ale następnym razem może pani nie mieć tyle szczęścia.

- Stan Connecticut słynie z dobrze prowadzonych domów dla umysłowo chorych - dorzucił jego partner, gdy mijali bramę posiadłości Delaneyów.

Cathy zaśmiała się głośno na tę groźbę, a policjanci wymienili spojrzenia i pokiwali z politowaniem głowami.

Gdy wyprowadzono Cathy za drzwi, Hale wziął głęboki oddech i zwrócił się do ojca.

- Wiesz, tato, nie możesz traktować ludzi w ten sposób i spodziewać się, że zawsze ujdzie ci to na sucho. - Ostrzeżenie nie miało sensu, wiedział o tym, ale mimo wszystko czuł się zmuszony to powiedzieć.

Jego ojciec zachichotał na wspomnienie niedawnej sceny.

- Czyż to nie było wspaniałe widowisko? - zapytał. - Ciekawe, gdzie twój braciszek znalazł taką jędzę?

Hale zaskoczony zamrugął oczami. On, przeciwnie, stale zachodził w głowę, jakim cudem Bob trafił na taki skarb.

- Naprawdę ci się nie spodobała?

- Czy mi się spodobała? - Siwe brwi Kevina prawie dotknęły linii włosów.

- Ta pyskata jędza? Nie obdarzyła mnie ani jednym miłym słowem!

- Nie byłeś wzorem gościnności - przypomniał mu Hale. Kevin wydawał się naprawdę zaskoczony.

- Dałem jej sypialnię z Monetem. Najładniejszy pokój w całym domu! Urządzała go twoja matka! - Kevin zerkał podejrzliwie na Hale'a. - Chcesz powiedzieć, że polubiłeś tę kobietę, tę... jak jej na imię?

- Cathy - warknął Hale.

- Ha-ha! - zaśmiał się szatańsko Kevin. - Widzę, że nadal rywalizujecie z Bobem.

Ojciec lubił prowokować między nimi kłótnie.

- Nigdy nie zazdrościłem Bobowi. - Aż do teraz... Hale czuł, że się czerwieni. Chciał zmienić temat. - Próbowałem ci pomóc, tato, ale w pewnym momencie...

Ojciec nerwowo przemierzał pokój.

- W pewnym momencie Bob musi się załamać i powiedzieć mi prawdę. Może zrobi to teraz, wiedząc, że narzeczona nie pośpieszy mu z pomocą.

Hale czuł się rozdarty pomiędzy dwoma przeciwnymi, ale równie idiotycznymi uczuciami. Sympatia, jaką odczuwał do ojca, nadal go zadziwiała. Od śmierci żony Kevin Delaney okazywał miłość wyłącznie poprzez zastraszanie i manipulację. Ale, o dziwo, Hale miał również poczucie lojalności wobec Cathy...

Ostatecznie każdy człowiek ma prawo do swoich marzeń.

Do licha, przez nią rojenia o landrynkowym życiu na przedmieściu wydały mu się zupełnie sensowne, wręcz sympatyczne!

Myślał, że odesłanie Cathy na Manhattan będzie dla niej ratunkiem. Ale ratunkiem przed kim? Przed Kevinem? Przed Bobem...? A może przed nim samym? Nigdy nie zapomni tych kilku chwil, które spędził z nią w łóżku... Wysłuchiwał jej historii o Skippym Jakimśtam i starał się ją zrozumieć. Czy naprawdę nadal chciała poślubić Boba?

- Rozmyślania godne Scherlocka Holmesa? - stwierdził kaśliwie ojciec.

Hale podniósł głowę i nagle zaświtał mu w głowie pewien pomysł. Sherlock Holmes? Czemu nie? Nie był ciekaw, co się stało z pieniędzmi ojca, ale dalszy los Cathy żywo go interesował.

- Chyba jeszcze nie mam ochoty wycofywać się z tej sprawy - powiedział, zadziwiając samego siebie. Przez całe życie uciekał od spraw rodzinnych, aż tu nagle zapragnął wejść w nie głębiej.

Jego ojciec zarechotał.

- Jak do tej pory rzeczywiście okazałeś się niezwykle pomocny! - zakpił.

- Może dlatego, że nie rozmawiałem z głównym bohaterem wydarzeń.

- O czym ty mówisz? Powiedziałem ci wszystko, co wiem!

- Mam na myśli Boba, tato - wyjaśnił Hale. - Nadszedł czas, bym pomógł z bratem.

## *ROZDZIAŁ SZÓSTY*

Patrząc z ukosa na Hale'a, Bob poprawił okulary na nosie.

- Po czyjej jesteś stronie?

Po stronie Cathy oczywiście, pomyślał Hale, ale zaraz przypomniał sobie, że Cathy chciała udowodnić niewinność Boba jedynie po to, by wyjść za niego jak najszybciej za mąż. To nie był cel przyświecający Hale'owi.

- Staram się poznać prawdę - odparł.

- Nikt mi nie wierzy - powiedział Bob ponuro, opadając na wielkie łoże.

- Ja ci wierzę. - To wprost niewiarygodne, ale naprawdę to powiedział!

Może zbyt długo przebywał w towarzystwie Cathy?

- Och, oczywiście. - Bob spojrzał na brata podejrzliwie. - I dlatego jesteś w zмовie z tatą?

- Wyświadczyłem mu tylko jedną przysługę. - Hale uniósł ramiona i dodał ponuro: - Przykro mi, że uprowadziłem twoją narzeczoną, ale uwierz mi, zasadniczo nie jestem po stronie starego. Po prostu tata ma niezwykle dar przekonywania...

- Wiem. - Bob nawet nie próbował ukryć rozdrażnienia. - Na przemian wypytuje mnie o brakujące pieniądze i gra ze mną w remika, próbując mnie namówić, żebym wrócił do rodzinnej firmy. I to jako główny księgowy!

- Mimo iż podejrzewa, że to ty ukradłeś jego pieniądze? Bob skinął głową.

- Zaproponował mi większą pensję, niż mam w banku. Oczywiście pod warunkiem, że zwrócę pieniądze. Powtarzałem mu na okrągło, że jestem niewinny, ale mi nie uwierzył. Więzi mnie, a w dodatku poinstruował Swithina, że mam zakaz wstępu do kuchni. Wiele bym dał za karmelowe ciasteczka z włoskimi orzechami...

Hale skinął głową ze zrozumieniem. Bob uwielbiał słodczyce. To zresztą było widać. Pewnie dlatego Cathy nazwała go Pączusiem...

- Jeśli powiesz ojcu, kto wziął pieniądze, pozwoli ci odejść.

- Ale... - Bob wytrzeszczył oczy.

Po ośmiu latach pracy w policji, Hale dobrze wiedział, kiedy ludzie coś ukrywają. Bob może nie kłamał, ale najwyraźniej zataił pewne fakty.

- Kim jest Bernie Morton? - zapytał Hale.

- Bernie? Skąd go znasz?

- Cathy mi o nim powiedziała.

- Cathy wie.

- Co wie?

- Nic. - Zacisnął szczęki. Kłamię, pomyślał Hale.

- Czy podejrzewasz, że to Bernie Morton zwędził pieniądze taty?

Bob wyglądał na zmieszanego.

- On jest moim najlepszym przyjacielem. Musiałeś go kiedyś poznać.

- Nie pamiętam. - Hale pokręcił głową.

- Może w tym czasie już się wyprowadziłeś, ale on tu często przyjeżdżał.

Mieszkaliśmy razem w akademiku.

- Wiesz, że Swithin z nim rozmawiał? Bob przytaknął.

- Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego Bernie miałby zrobić coś podobnego...

- Ale mimo wszystko podejrzewasz go?

- Owszem, myślałem o tym. Zachowywał się dziwnie, wykonywał w pracy tajemnicze telefony. Kiedy ktoś dzwonił, Bernie zawsze wypraszał mnie z pokoju. Raz nawet zamknął za mną drzwi. A jakieś dwa tygodnie temu, kiedy przyszedłem do pracy wcześniej, siedział w moim pokoju przed włączonym komputerem.

Hale skinął głową. Wyglądało na to, że znaleźli winnego.

- Jak się wytłumaczył?

- Powiedział, że chciał pograć w taką jedną grę. - Bob wzruszył ramionami. - Być może mówił serio. Ale jego dziwne, niespokojne zachowanie wzbudziło moje podejrzenia. Zaczął pić, a niedawno nieoczekiwanie wyjechał na Kajmany. Postanowiłem tam pojechać, żeby sprawdzić, o co chodzi.

- Na swój miodowy miesiąc - przypomniał Hale.

- Tak...

- Dlaczego od razu nie poinformowałeś o swoich podejrzeniach ojca? Chciałeś kryć przyjaciela?

- A jeśli jest niewinny? - zapytał Bob zbolalym głosem.

Hale wiedział, że Bob nie ma natury donosiciela. Pewnego razu, gdy Hale wgiął błotnik mercedesa należącego do ojca, Bob wolał wziąć winę na siebie, niż donieść na brata. Poświęcił dla niego szkolną wycieczkę na Nowojorską Giełdę

Akcyjną. Bob był lojalny w stosunku do swych przyjaciół... Hale mógł być dumny z braciszka.

- Ale skoro go podejrzewałeś i postanowiłeś nawet zmienić plany na swój miodowy miesiąc... - zaczął.

Bob machnął rękami.

- Niewielkie wyrzeczenie. I tak nie chciałem jechać do Filadelfii. To był pomysł Cathy.

- Rozumiem, że wolałbyś zrzucić z siebie podejrzenia, żeby spokojnie rozpocząć nowe życie?

Na twarzy Boba malowało się zakłopotanie.

- Jakie życie?

- Chodzi mi o twój ślub. Twój miodowy miesiąc.

- Och, to. - Bob wzruszył ramionami.

- Nie chcesz poślubić Cathy?

- Oczywiście, że chcę! - wysapał Bob, jednak bez przekonania.

Hale podniósł się z krzesła i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. Bob, mężczyzna marzeń Cathy, nie chciał się z nią żenić? Hale'owi mocniej zabiło serce. Z trudem ukrył triumfalny uśmiech.

- Cathy bardzo pragnie usłyszeć od ciebie sakramentalne „tak”.

- Wiem. Ja też chcę ją poślubić. Naprawdę. Na Boga, kto by nie chciał? -

Wzruszył ramionami. - Tylko...

- Tylko co? - Hale miał ochotę nim potrząsnąć.

- Znamy się dopiero trzy lata...

- Trzy lata to kawał czasu, bracie - stwierdził Hale.

- Ale Cathy i ja nie...

- Tak? - zapytał Hale, nie wiedząc, do czego Bob zmierza.

- Wiesz, nasze intymne życie pozostawiało wiele do życzenia...

- Chcesz powiedzieć, że wy nie...?

Ależ był zaskoczony! A więc Cathy i Bob nie spali ze sobą...

Biedny Bob wyglądał tak, jakby chciał natychmiast zapaść się pod ziemię.

- Są pewne plusy tego, że ojciec mnie tutaj uwięził. Potrzebujemy więcej czasu na przemyślenie tak ważnej decyzji, jaką jest ożenek. Gdyby tylko udało mi się przekupić Swithina, żeby kazał kucharzowi zrobić jakiś dobry deser, byłbym w siódmym niebie.

- Bob, a co z twoją narzeczoną? Bob potrząsnął głową.

- Ona nie pozwalała mi jeść słodczy.

Hale złapał oddech, by zachować cierpliwość.

- Co zamierzasz powiedzieć Cathy, kiedy wyplącesz się z tej sytuacji?

- Nie jestem pewien... - Bob zawahał się. - Cathy przez cały czas zapewnia mnie, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Zgaduję, że miałeś okazję ją poznać. - Bob uśmiechnął się. - Jest trochę...

- Trochę jak buldożer? - podpowiedział Hale. - Postanowiła cię stąd wyrwać i dlatego domagała się, żebym ją tu przywiózł.

Bob przytaknął.

- Widziałem, jak policja wyprowadzała ją z domu.

- Gdyby tego nie zrobili, mogłaby zrobić sobie krzywdę przy kolejnej próbie ucieczki. Trzymanie jej w zamknięciu stawało się niebezpieczne.

- Ja nie będę próbował uciekać. A skoro tata zajął się sprawą brakujących pieniędzy, przestałem się o nie martwić.

- Ponury uśmiech Boba przemienił się w grymas niepokoju.

- Ale Cathy może nie być bezpieczna na Manhattanie. Prawdopodobnie zacznie węszyć na własną rękę. Muszę do niej zadzwonić i poprosić, żeby siedziała cicho.

- Zrobię to w twoim imieniu. - Hale skierował się w stronę drzwi.

Bob rzucił mu powątpiewające spojrzenie.

- Niełatwo zmusić Cathy do czegokolwiek. Może będziesz musiał ją śledzić.

- Taki mam właśnie zamiar. - Hale zaśmiał się. - Spokojna głowa.

Kiedy opuścił pokój brata, na korytarzu potrącił Swithina. Kamerdyner odskoczył, z mistrzowską wprawą utrzymując tacę z herbatą, którą niósł w jednej ręce.

- Och, Swithin! - wykrzyknął Hale, zaskoczony jego widokiem.

Kamerdyner skłonił się uprzejmie.

- Niosę herbatę dla pana Boba. To mu pomoże uspokoić nadszarpnięte nerwy.

- Rodzina winna jest ci wdzięczność, Swithin. Ciemne oczy Swithina błysnęły radośnie, ale jego usta skrzywiły się z niezadowolenia.



- Kamerdyner nigdy nie oczekuje podziękowań, proszę pana - rzekł Swithin jak zwykle beznamiętnym tonem.

- Mimo wszystko jestem ci ogromnie wdzięczny. Zastanawiałem się...  
Kruczoczarne brwi Swithina uniosły się w górę.

- Tak, proszę pana?

- Od jak dawna znasz Berniego Mortona? Od kiedy Bob poszedł do college'u?

- Tak. Był takim niezdarnym młodzieńcem o ciemnych włosach i bladej, niezdrowej cerze. Miał w oczach coś złośliwego...

- A teraz? - zapytał Hale.

- Hmm, wyleczył się z trądziku.

Hale uznał zatem, że wszystko inne pozostało bez zmian. Postanowił zapamiętać sobie tę charakterystykę.

- Swithin?

- Tak, panie Hale? Hale wskazał na tacę.

- Czy mógłbyś być tak dobry i podrzucić Bobowi kilka ciasteczek?

Rzucając Hale'owi powściągliwy uśmiech, Swithin pokazał nakryty spodeczkiem kawałek ciasta ze świeżymi truskawkami i kremem.

- Już to zrobiłem, proszę pana.

Hale również się uśmiechnął. Chciał, żeby jego brat był szczęśliwy w niewoli. Im dłużej Bob nie będzie spieszył się do Cathy, tym lepiej...

Cathy nie spodziewała się, że kiedykolwiek poczuje prawdziwą radość na widok kogoś ze swych bliskich. Jednak kiedy Joan otworzyła jej drzwi o trzeciej nad ranem, Cathy wylewnie ją uściskała - nastroszone pomarańczowe włosy i całą resztę. Po tym jak poznała ewidentnie chorych psychicznie Delaneyów, lekko zwariowani Seymourowie wydali się jej wzorem doskonałości.

- O Boże! - Joan ze zdumieniem gapiała się na wymiętoszony ślubny kostium Cathy. - Musiałaś przeżyć piekło w dniu ślubu!

- Ślub się nie odbył. - Cathy rozpląkała się i opadła wyczerpana na kanapę pokrytą sztucznym futrem. Zrelacjonowała swoje nieszczęścia godzina po godzinie. Ulżyło jej, gdy zrzuciła wreszcie ciężar z piersi, pozwalając tym samym postronnej osobie znaleźć jakiś sens w chaosie, który nagle zapanował w jej starannie zaplanowanym życiu.

- Pozwól, że pomyślę - powiedziała Joan, pukając się pomalowanym na pomarańczowo paznokciem w brodę. - Przystojniak, który cię porwał, jest bratem nudnego Boba, a ojciec nie lubi ich obu, tak?

Cathy skinęła głową, ale dodała lojalnie:

- Bob wcale nie jest nudny, to ty masz dziwaczne upodobania. Interesują cię ekscentryczni mężczyźni w czerni, o imionach typu Igor, Leonardo lub Prince.

- Duke - poprawiła urażona Joan. - A do twojej wiadomości, Duke właśnie dostał pracę jako taksówkarz.

- Dwa tygodnie razem, a oni wciąż jak nowożeńcy! - Cathy zaśmiała się pobłaźliwie.

- Mniejsza o mnie - powiedziała Joan poirytowanym tonem, którego używała zawsze, gdy ktoś zaczynał przyglądać się jej życiu z tą samą gorliwością, z jaką ona ingerowała w życie innych.

Chodziła tam i z powrotem po pokoju. Zamiast kapci, nosiła zielone, bawełniane skarpety, z których jedna zsunęła się jej na piętę.

- Rozumiem, że jesteś wściekła przede wszystkim na tego faceta... Hale'a, czy tak?

- Oczywiście! To właśnie on mnie porwał.

- Hmm...

- Wiem, o co ci chodzi - zgadywała Cathy, uważnie patrząc na siostrę. - Myślisz, że zakochałam się w nim. Zaczynasz się zastanawiać, czy podświadomie życzę Bobowi, żeby został skazany za defraudację i wysłany na dwadzieścia lat do więzienia.

- Wystarczyłyby trzy - powiedziała Joan.

- Bob jest niewinny! - krzyknęła Cathy. Co miała zrobić, żeby ludzie zaczęli jej wierzyć?

- Tak, tak - powiedziała Joan. - Oczywiście. Bob to prawdziwy skarb. A teraz opowiedz mi o tym... Hale'u...

- Chcę o nim jak najszybciej zapomnieć.

- Oczywiście, że chcesz. To dlatego dobijasz się do moich drzwi o trzeciej rano, żeby mi go szczegółowo opisać.

- Wciąż jestem oszołomiona. Co mogę zrobić, żeby wyrwać Boba z rąk tych ludzi?

Joan z westchnieniem rozsiadła się w fotelu.

- Chcesz mojej rady?

Cathy skinęła głową. Zazwyczaj ignorowała rady siostry, ale dziś miała piekielnie ciężki dzień i potrzebowała pomocy.

- Nie rób nic - powiedziała Joan. Położyła łokcie na poręczach fotela. - Oczywiście, miałam przyjemność poznać tylko jednego Delaneya, ale z tego, co mi dzisiaj powiedział, wynika, że oni wszyscy są stuknięci. Zbzikowane ptaszki.

- Bob nie jest stuknięty! I nie ukradł tych pieniędzy! Ma ojca paranoika i brata, który zrobi wszystko, by przypodobać się staremu. Pozwolił, by policjanci wywelekli mnie z domu jak niebezpieczną kryminalistkę! Jego miejsce jest w domu wariatów. Muszę jakoś pomóc Bobowi!

Joan rzuciła jej badawcze spojrzenie.

- A kiedy zamierzacie się pobrać? Cathy podskoczyła nerwowo.

- Tak szybko, jak tylko będę w stanie wyrwać go z łap ojca! - powiedziała, rozglądając się w poszukiwaniu torebki. Wstała i pomaszerowała do drzwi. Jeśli nikt nie wierzył, że Bob jest niewinny, będzie musiała znaleźć na to dowód. - Skoro szczęśliwie wróciłam do Nowego Jorku, postaram się oczyścić Boba z zarzutów!

- Bądź ostrożna - ostrzegła ją Joan. - Możesz wpaść w poważne tarapaty.

Cathy zamówiła taksówkę i dotarła do kamienicy, w której zajmowała mieszkanie na niskim parterze. Była wyczerpana i śpiąca. Niestety, gdy tylko otworzyła drzwi frontowe, prowadzące na korytarz, doznała wstrząsu, który natychmiast ją rozbudził. Nie użyła klucza, a przecież zwykle drzwi były zamknięte. Czyżby wczoraj w podnieceniu zapomniała je zamknąć?

Drzwi jej mieszkania otworzyły się pod wpływem pchnięcia. Stała na progu salonu jak zamrożona. Ktoś splądrował jej mieszkanie! Bała się zrobić krok do przodu przez sterty ubrań, książek i pościeli. Co za bałagan!

Rozglądała się wokół przerażona. A może intruz wciąż tu był? Lub, co gorsza, obserwował ją? Krew odpłynęła jej z twarzy, a serce zaczęło walić jak szalone.

Słyszając dzwonek telefonu, Cathy podskoczyła w górę i wylądowała jedną stopą na koszuli nocnej, a drugą skrzyła sobie na grubej książce w miękkiej okładce.

Telefon. Gdzie on jest? Skacząc na jednej nodze pośród porzucanych rzeczy, odnalazła w końcu aparat i wygrzebała spod stosu ubrań słuchawkę.

- Halo?

- Cathy? Czy to ty?

- Bob! - Prawie rozplakała się w przyływie ulgi. - Dzięki Bogu! Gdzie jesteś?

- Wciąż w Connecticut.

- Och, Bob, nie uwierzysz, ale moje mieszkanie... Nie pozwolił jej skończyć.

- Nie mam wiele czasu, Cathy. Jak zobaczysz Hale'a, powiedz mu o Dexterze.

- Hale! - krzyknęła ze złością. - Nie chcę cię urazić, ale mam nadzieję, że nie zobaczę więcej twojego brata!

- Powinien zjawić się dziś u ciebie - powiedział Bob, nie zważając na jej słowa. - Powiedz mu, że jak będzie sprawdzał komputery w banku, Dexter powinien...

Cathy drgnęła, gdy słuchawka najwyraźniej wysunęła mu się z ręki i stuknęła o coś twardego.

- Bob?

Znów podniósł słuchawkę.

- Muszę już iść...

- Bob, powiedz, proszę, co mam zrobić z moim... - Usłyszała kroki na chodniku przed domem. Och, nie! - Bob, ktoś tutaj jest! Tak się boję. Moje mieszkanie zostało...

Znów rozległ się stukot, po czym w słuchawce zapadła głucha cisza.

Nie wiedziała, co zrobić. Rozłączono ją z Bobem, który próbował powiedzieć jej coś ważnego. A pod jej drzwiami przemknął cień. Schowała się za krzesłem i drżącymi palcami wykręciła numer policji.

- Cathy?

Spojrzała w górę. Hale!

Zaglądał przez uchylone drzwi. Najpierw oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, a potem z uwagą spoczęły na Cathy. Czując ulgę, a zarazem zmieszanie, Cathy rzuciła słuchawkę. Bob co prawda mówił, że Hale ją odwiedzi, ale nie chciała go więcej widzieć. Chociaż w tej chwili miała ochotę rzucić mu się w objęcia.

Przez kilka chwil stali zakłopotani, aż w końcu Hale uśmiechnął się, gestem wskazując na ubrania rozrzucone na podłodze.

- O ile pamiętam, chwaliłaś się, że masz w domu nieskazitelny porządek.

Cathy, z rękami na biodrach, rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Masz tupet, żeby tu przychodzić i prawić mi kazania!

Zrobił krok naprzód, potykając się o niebieski sandałek leżący w holu. Potem śmieiej począł przeszukiwać mieszkanie, jakkolwiek wątpił, że znajdzie intruza.

- Masz ze mną na pieńku! - rzuciła Cathy hardo, wchodząc za nim do kuchni.

W tym momencie ze schowka wypadła szczotka. Cathy krzyknęła i zacisnęła dłoń na ramieniu Hale'a.

Hale postawił szczotkę na miejsce i zamknął drzwi.

- Co masz na myśli? - spytał.

Puściła go i podreptała za nim do sypialni.

- Ostatnią noc.

- Chodzi ci o to, że wylądowałaś w moim łóżku? To była twoja inicjatywa...

- Mam na myśli twoje zachowanie, gdy twój ojciec wezwał policję. Pozwoliłeś im wywlec mnie jak jakąś przybłędę! Jesteś wstrętnym typem! - rzuciła z pasją. Ale zaraz, przygryzając wargi, niepewnie dotknęła jego ramienia i pokazała drzwi na przeciwnej ścianie. - Tam jest szafa wnękowa...

Jak widać wstrętne typy bywają potrzebne. W szafie nic nie było poza sukienkami na wieszakach i swetrami poukładanymi starannie na cedrowych półkach. Spojrzał na kredens w pokoju. Wyglądał na nietknięty.

- Jak myślisz, czego oni tu mogli szukać? - Hale zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie zadzwonisz do swojego ojca i go o to nie spytasz?

Zaskoczony, obrócił głowę.

- Myślisz, że moja rodzina maczała w tym palce?

- A któż by inny?

- Wierz mi, Cathy, mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego. Jak długo tu jesteś?

- Najwyżej pięć minut.

To wyjaśniało, dlaczego nadal miała na sobie wymięty ślubny kostium.

- Z kim rozmawiałaś przez telefon? Zaciśnęła usta.
- Z nikim - odparła po chwili namysłu.
- To był Bob, prawda?
- Nie. - Pokręciła stanowczo głową.
- Co ci powiedział?
- Nie będę z tobą rozmawiać.
- Bob podał mi nazwisko głównego podejrzanego. To Bernie Morton.  
Zamyśliła się na krótką chwilę, a następnie gwałtownie potrząsnęła głową.
- To niemożliwe!
- Dlaczego?
- Ponieważ Bernie i Bob są przyjaciółmi. Obaj cieszą się w banku nieposzlakowaną opinią i stale rywalizują, który z nich zostanie pracownikiem miesiąca.
- A może który zostanie defraudantem miesiąca?
- Bernie nie jest tego typu człowiekiem. On nie potrafi dochować żadnej tajemnicy. Nie byłby w stanie ukraść takich pieniędzy.
- Bob jest innego zdania - powiedział Hale.
- Mnie o tym nie wspomniał - stwierdziła i zaraz zakryła dłonią usta.  
Hale zaśmiał się z cicha
- Co w takim razie ci powiedział?
- Nic!
- Daj spokój, Cathy, bądź ze mną szczerą. Może trudno ci w to uwierzyć, ale jestem po waszej stronie.
- To wspaniale mieć w tobie sojusznika - oświadczyła kpiącym tonem. -  
Podejrzewam, że z tego powodu pozwoliłeś policji wywlec mnie ostatniej nocy jak jakiegoś lumpa.
- Próbowałem tylko uwolnić cię od mojego ojca.

- Doprawdy, to brzmi niezwykle wiarygodnie! Postanowił przerwać ten spór. Przynajmniej na jakiś czas.

Znów rozejrzał się po mieszkaniu.

- Czy czegoś brakuje?

Omiotła wzrokiem pokój, nie kryjąc rozżalenia.

- Porządku - powiedziała ponuro. - Tego brakuje.

Hale spróbował wyobrazić sobie, jak wyglądał ten pokój, kiedy panował w nim zwykły porządek. Kanapa i pasujące do niej krzesła miały beżowy, neutralny kolor. I naturalnie nigdzie nie było znieawidzonych poduszek.

Nagle zmrużył oczy. Coś jednak nie pasowało...

- Dlaczego wywlekli twoje ubrania do salonu?

- Tu stała moja walizka - wyjaśniła. - Spakowana na podróż poślubną.

Hale uniósł brwi na widok niebieskiego, jednoczęściowego kostiumu kąpielowego, który wystawał ze sterty ciuchów leżącej u jego stóp. Był to praktyczny kostium, ale kiedy wyobraził sobie, jak ciasno opinałoby ciało Cathy, to aż zabrakło mu tchu.

- Gdzie jest walizka?

- W kuchni, na podłodze - powiedziała. - Zostawiłam ją przy drzwiach frontowych, żeby była pod ręką, gdy będę wyjeżdżała na lotnisko. Nie chciałam taszczyć jej do urzędu ślubów.

Hale skinął głową, ani trochę nie zdziwiony, że Cathy zaplanowała dzień swego ślubu co do sekundy.

- Sprawdź, czego w niej brakuje.

Zaczęli podnosić rzeczy z podłogi. Hale, korzystając z rady Cathy, układał wszystko, co znalazł na podłodze, w porządne sterty - szorty, bluzki, buty, przybory toaletowe. Trzymając kilka jedwabnych staników, zaśmiał się.

- Gdzie mam je położyć? Wyrwała mu je z ręki.

- Czy jesteś pewien, że twoja rodzina nie ma z tym nic wspólnego? - zapytała ponownie.



- Całkowicie. - Kevin Delaney nie zleciłby splądrowania czyjegoś mieszkania.

- Nie jestem pewna... - Dalsze słowa uwięzły jej w gardle. Z pobladłą twarzą zaczęła przerzucać stertę książek i magazynów.

- O co chodzi? - zapytał Hale.

- Bilety lotnicze! - krzyknęła. - Zostawiłam je w torbie podróżnej, a teraz są w sypialni.

Hale przypomniał sobie, że widział kopertę z biura podróży. Weszli do sypialni i obejrzeni dwa bilety na Kajmany.

- Czy jesteś pewna, że nie zostawiłaś ich tutaj? Pokręciła głową.

- Zawsze wkładam bilety do bocznej kieszeni torby podręcznej. Zawsze.

- A więc ktoś chciał wiedzieć, dokąd wyjeżdżacie.

- Czy to nie dowodzi, że Bob jest niewinny?! - krzyknęła. Gdy Hale zmarszczył brwi, zapytała: - Ty wciąż mu nie wierzysz, prawda?

- To jest życie, a nie film kryminalny.

- Wiem o tym. Nie jestem głupia.

Nie, nie była. Była rozgarnięta, zabawna i bardzo lojalna w stosunku do narzeczonego. Do licha, chciałby pocałować te pełne, zmysłowe wargi...

Wciąż jest narzeczoną Boba, przypomniał sobie. Musiał wziąć się w garść. Odwrócił się do niej i pokazał coś, co niepokoiło go od samego początku.

- Jeśli jesteś taka rozgarnięta, to powiedz mi, dlaczego mieszkając w parterowym mieszkaniu w Nowym Jorku, masz tylko jeden zamek w drzwiach? Potrzebujesz rygla.

Cathy podreptała za nim i obejrzała zatrzask, który włamywacz z taką łatwością otworzył.

- Zadzwońię po ślusarza - powiedziała zdecydowanie.

- I wezwij policję, żeby poszukała odcisków palców.

- Policję? - Wyglądała na zdziwioną. - Przecież ty jesteś policjantem.

- Oczywiście, ale trzeba wezwać techników, by zabezpieczyli ślady.

- Nic nie zginęło. Po co robić raban?
- Cathy, włamano się do twojego mieszkania. Włamanie, nawet bez kradzieży, jest przestępstwem.
- Być może, ale teraz mam większe problemy. Och, nie, pomyślał Hale z przestrawieniem.
- Nie zamierzasz chyba prowadzić śledztwa na własną rękę, prawda?
- Skądże! - zaprzeczyła. - Ale nie chcę, żeby policja buszowała po moim mieszkaniu. Jestem wyczerpana. Wciąż mam na sobie ślubny kostium, muszę wziąć prysznic i trochę się przespać! Czy to cię dziwi?
- Ale ktoś, kto się włamał...
- Nie wróci - przerwała mu szybko. - Ktokolwiek to był, chciał po prostu dowiedzieć się, dokąd jedziemy. Po co miałby wracać?
- Hale rozumiał, że była zmęczona. Zresztą, on również był skonany.
- W porządku - ustąpił niechętnie. W pracy działał zawsze zgodnie z przepisami, ale to była wyjątkowa sytuacja. - Znam pewnego ślusarza. Zadzwońię po niego, a tymczasem posprzątam, zgoda? Potem możesz wziąć prysznic i położyć się w końcu spać.
- Dziękuję - odpowiedziała z kpiącym uśmiechem.
- I na Boga, nie próbuj sama rozwikłać tej sprawy. Przestępcy w białych kołnierzykach mogą być równie niebezpieczni, jak uliczne zbiry. Zwłaszcza kiedy czują się osaczeni.
- Czy chcesz nadal mnie przesłuchiwać, czy mogę już zacząć sprzątać? - zapytała Cathy.
- Jeszcze jedno pytanie - powiedział.
- Tak? - Uniosła pytająco brew. Wskazał majtki leżące na stoliku do kawy.
- Czy zawsze takie nosisz, czy może przeznaczasz te przezroczyste na specjalne okazje?

## *ROZDZIAŁ SIÓDMY*

Bob wspomniał o Dexterze. Powiedział, że Hale będzie potrzebował Dextera przy sprawdzaniu komputerów w banku. Cathy przejrzała listę zatrudnionych w FBI, ale nie znalazła takiego nazwiska. Może powinna powiedzieć o tym Hale'owi? Doszła jednak do wniosku, że lepiej samej najpierw wszystko sprawdzić. Zdecydowała się natychmiast wszcząć śledztwo.

Bardziej niż brak sukcesu w odnalezieniu tajemniczego Dextera zaniepokoiła ją łatwość, z jaką ludzie w banku przyjęli za dobrą monetę jej kłamstwo o odwołaniu podróży poślubnej ze względu na zaziębienie Boba. Nikt nie wydawał się zaskoczony, że pojawiła się w biurze nazajutrz po ślubie!

Oni uważają mnie za zimną rybę, zdała sobie sprawę, wstrząśnięta. Czy naprawdę taka była? Cóż z tego, że wołała przewidywalnego i spokojnego Boba od Hale'a, który był wielką niewiadomą w atrakcyjnym opakowaniu?

Wołała Boba, prawda? Odchyliła się w tył na biurowym krześle, patrząc błędnym wzrokiem w monitor komputera. Nigdy nie czuła się tak dziwnie. Jakby balansowała na krawędzi... Wyglądało na to, że solidna podstawa, na której z takim uporem budowała swoje życie, chwiała się w posadach. Zanim spotkała Hale'a, nigdy nie wątpiła, że chce poślubić Boba...

A jednak to Hale wciąż ją intrygował i to o nim bezustannie rozmyślała. Był policjantem, który porywał ludzi. Z równą swobodą rozmawiał o bezpieczeństwie na ulicach, Handlu, jak i o jej przezroczyściej majtkach! Nie wiedziała, czego się po nim spodziewać.

Popatrzyła smętnie na biurko i po raz kolejny spróbowała skupić się na danych. Od rozpoczęcia pracy w banku, czyli od trzech lat, zajmowała się kredytami. To była jej pasja. Kredyty, Bob i jej marzenia o domku z ogródkiem... Patrzyła teraz na raport kredytowy - solidny, bez zaległych

należności - i nie potrafiła wykrzesać z siebie ani odrobiny zainteresowania. Jak to możliwe?

Obawiając się o swój stan psychiczny, zamknęła na moment oczy i poddała się najważniejszej próbie. Zwykle z łatwością wyobrażała sobie swój idealny dom - dom, w którym mieszkałaby z Bobem. Dwupiętrowy, z cegły, na zadrzewionej działce... Ale żadna wizja się nie pojawiła. Co gorsza, gdy próbowała wyobrazić sobie idealnego mężczyznę u swego boku, zamiast solidnego Boba, pojawiał się Hale, uśmiechając się do niej kusząco.

Otworzyła oczy i w szybie monitora zobaczyła przechodzącego przez hol mężczyznę. Bernie Morton! Cathy poderwała się z krzesła i podbiegła do drzwi. Bernie, z marynarką i aktówką w ręku, zmierzał w stronę windy. Złapała torebkę i podążyła za nim. Drzwi windy o mało jej nie przytrzasnęły.

Bernie, wysoki, niezgrabny mężczyzna, spojrzał na nią zaskoczony.

- Cathy, przyszłaś do pracy? A ja myślałem...

Czyżby Hale miał rację? Świadomość, że może stoi obok człowieka, który splądrował jej mieszkanie, nieomal ścięła ją z nóg.

- Wszystko w porządku. - Zmusiła się do uśmiechu. - Jesteśmy po ślubie.

- Ale chyba wybieraliście się na romantyczny miodowy miesiąc? - zagaił niepewnie.

- Na Kajmany - wyjaśniła. Jakby nie wiedział!

- Ach, tak! - Uderzył się w czoło. - Niedawno stamtąd wróciłem.

- Bob mi wspominał. - Obserwowała go uważnie.

Bernie poluzował węzeł krawata i zwrócił się do Cathy z uśmiechem:

- A gdzie się podziewa stary Bobster? Cathy skrzywiła się z niezadowolenia.

- Czyżbyś nie wiedział? Bob potwornie się przeziębił jeszcze przed ślubem. Nie będzie go przez tydzień. Doszłam do wniosku, że nie ma powodu, bym siedziała beczynnie w domu.

Bernie pokiwał głową z aprobatą.

- To tak jak ja. Gdy jestem w mieście, muszę pracować. Bez roboty staję się nerwowy.

- Powinieneś zadzwonić do Boba - powiedziała, doskonale wiedząc, że odpowie mu automatyczna sekretarka. Gdy tylko odprawiła Hale'a i wyspała się, poszła do mieszkania Boba i nagrała nową informację na sekretarce. Zawiadomiła, że się pobrali i poinstruowała dzwoniących, żeby nic nie mówili po sygnale, o ile nie będzie to bardzo, ale to bardzo ważna wiadomość.

- Może przekręcę do niego - zapowiedział Bernie, przerzucając nerwowo monety w kieszeni spodni. - Albo wpadnę go odwiedzić. Może jutro wieczorem? Tak, jutro wieczorem.

Uśmiechnęła się. Coś w jego tonie upewniło ją, że z całą pewnością nie będzie się kontaktował z Bobem.

- Na pewno się ucieszy. Bernie przytaknął.

- Wracasz wcześniej do domu? - Była zaledwie czwarta piętnaście.

- Pomyślałam, że kupię coś do jedzenia - skłamała Cathy. - A ty? To do ciebie niepodobne, żeby wychodzić przed szóstą.

- Och, mam sprawę do załatwienia.

Na parterze, gdy pasażerowie wyszli z windy, Cathy pozostała w tyle, puszczając Berniego przodem. Potem podążyła za nim, zachowując dystans kilkudziesięciu metrów. Nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście kogoś śledzi, zupełnie jak Humphrey Bogart w czarnych kryminałach. Nigdy nie marzyła o roli prywatnego detektywa, ale czuła dreszczyk emocji, kiedy po dziesięciu minutach marszu Bernie wszedł do jakiegoś lokalu. Po kilku sekundach podążył jego śladem jakiś korpulentny mężczyzna z brodą. Nad drzwiami widniał szyld: „O'Leary's Pub”.

Wielka mi sprawa! Skok do podejrzanego wyglądającego baru! Cóż, Bernie zawsze miał wady, od których Bob, dzięki Bogu, był wolny. Bernie lubił zakłady i sprośne dowcipy. To zupełnie nie było w stylu Boba. Bob nigdy też nie pozwoliłby sobie na uwagi na temat jej majtek...

Zmarszczyła czoło. Dlaczego nie? Dlaczego Bob nie był zainteresowany nią w taki sposób, jak manifestował to Hale? Gdy była z Bobem sam na sam, zawsze bardziej interesował się telewizją niż seksem.

Bernie nadal był w pubie. Cathy nabrała śmiałości i podeszła do okna. Zobaczyła ciemne wnętrze, zastawione ciasno stołami i krzesłami. Bernie nie siedział przy stole. Wykręciła szyję i dojrzała go przy barze w towarzystwie mężczyzny z nadwagą. Rozmawiali o czymś z ożywieniem.

Bernie cały czas paplał, podczas gdy gruby jegomość słuchał z uwagą. Szkoda, że nie mogła zobaczyć, co Bernie przyniósł w tej aktówce, albo posłuchać ich konwersacji. Przez kwadrans Bernie wypił dwa drinki, podczas gdy jego kompan ledwie zaczął jeden. Kiedy gruby mężczyzna sięgnął do tylnej kieszeni, żeby zapłacić, Cathy po cichu weszła do pubu i podkraśla się na tyle blisko, by dobrze obejrzeć rozmówcę Berniego. Opuścili bar osobno, kilka sekund po sobie, co tylko wzmogło podejrzenia Cathy.

Mężczyzna z nadwagą był dobrze ubrany; miał szary, doskonale skrojony garnitur i czarne buty wypolerowane na wysoki połysk. Był wyraźnie dumny ze swojego wyglądu, czego Cathy, oczywiście, nie miała mu za złe.

Zaczęła się zastanawiać, dlaczego Bernie spotkał się potajemnie z grubym mężczyzną. Może byli starymi przyjaciółmi? A może pojawili się w barze prawie w tym samym czasie przez zwykły przypadek? Tego, oczywiście, nie można było wykluczyć.

Ale było to mało prawdopodobne. Bernie powiedział, że ma do załatwienia sprawę. Pomyślała wówczas, że musi odebrać ubranie z pralni lub coś w tym rodzaju. Ale, choć kłamał, niekoniecznie musiało to mieć związek ze sprawą Boba. Chyba że...

Czy ten gruby facet to Dexter? Czy to on był mężczyzną, o którym próbował jej powiedzieć Bob?

Niezadowolona, że nie zbliżyła się ani o krok do rozwiązania zagadki, powlokła się ciężko z powrotem do biura. Musiała próbować dalej, w

przeciwnym razie Bob nigdy nie odzyska wolności. A wtedy nie mogliby wziąć ślubu... Jeśli pozostanie samotna trochę dłużej, a Hale będzie nadal odwiedzał ją o dziwnych porach, to aż strach myśleć, co może się wydarzyć...

Zaczerwieniła się z powodu niestosownych myśli. Popchnęła obrotowe drzwi banku z mocnym postanowieniem, że nie będzie więcej zaprzętać sobie głowy Hale'em.

Ale gdy uśmiechnęła się do sprzątacza w drodze do windy, z konsternacją zauważyła, że jego oczy przypominają jej oczy Hale'a. Przecież Bob również miał niebieskie oczy, ale zamiast o narzeczoną, znów pomyślała o jego braciszku. Co się z nią działo?

Czekając na windę, obróciła się i ponownie spojrzała na niebieskookiego mężczyznę. Ubrany był w niebieskie drelichowe spodnie i białą koszulę, na głowie miał firmową czapkę. Sprzątacze w FIB mieli zielone kombinezony... Do koszuli mężczyzny przypięta była plakietka, na której widniało imię Jose. Ale ten facet z pewnością nie był Latynosem!

Podeszła do niego i westchnęła teatralnie, rozpoznając Hale'a.

- Jak się masz! - zawołał radośnie Hale. - Zastanawiałem się, ile czasu zajmie ci rozpoznanie mnie w moim mistrzowskim przebraniu.

- Jak długo mnie obserwujesz?

- Na tyle, by wiedzieć, że śledziłaś Mortona.

- Masz tupet, żeby łączyć za mną jak... Skąd wiesz, że to był Bernie?

- Swithin mi go dokładnie opisał - odparł i zaraz dodał tonem nagany: - Miałem nadzieję, że zostawisz robotę detektywistyczną zawodowcom.

- Zawodowcom! - parsknęła. - Czyżbyś miał właśnie na sobie służbowy mundur?

- Moje spodnie nie mają dziur i są w neutralnym kolorze - powiedział, naśladowując sposób wypowiedzi projektantów mody. - Koszula lśni klasyczną bielą i została starannie wpuszczona w spodnie. Proszę zwrócić uwagę na brak jakichkolwiek niestosownych nadruków czy napisów. - Westchnął i dodał już

normalnym głosem: - W porządku, śledziłem cię. I przekonałem się, że jesteś w tym niezła. Nie zauważyli cię przed barem.

- Naprawdę? - Poczula przyływ dumy. Ale czy dobry detektyw nie powinien wiedzieć, czy ktoś go śledzi?

- Najwyższy czas, żebyś powiedziała mi, co wiesz. Przecież tak samo jak ty chcę dotrzeć do prawdy.

Skrzywiła się lekko.

- Podejrzewam, że zamknięcie Boba w areszcie domowym jest dla ciebie wygodne.

- Dlaczego? Ponieważ wiesz, że podobasz mi się? - zapytał wprost.

- No... właśnie. - Czowała, że twarz jej płonie.

- W takim razie źle podejrzewasz. Jesteś zaręczona z moim bratem.

Dopóki Bob pozostanie w areszcie, nawet palcem cię nie tknę. A potem... zobaczymy.

- A potem Bob i ja się pobierzemy! - oświadczyła stanowczo.

Popatrzył na nią przeciągle.

- Być może - powiedział z powątpiewaniem. - Zapominasz jednak o tym, co najważniejsze. Mój ojciec został okradziony i chcę mu pomóc, bez względu na to, jak okropny był dla mnie w przeszłości.

A zatem ojciec był dla niego ważniejszy? To ją oszołomiło. I była... niezadowolona. Do licha, co się z nią działo? Czyżby naprawdę chciała, by Hale się w niej zakochał? Spróbowała myśleć logicznie. Oferował jej pomoc. Był policjantem. Na pewno lepiej od niej znał się na prowadzeniu śledztwa. Naprawdę mógł jej pomóc w odzyskaniu Boba.

- W porządku, podzielę się z tobą wszystkimi informacjami - powiedziała - jeśli pomożesz mi oczyścić Boba z zarzutów. Od czego zaczniemy?

Wskazał na drzwi obrotowe.

- Od Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy i Pierwszej Alei - powiedział, popychając ją w kierunku wyjścia.



- Czego tam szukamy?

- Pizzy. - Mrugnął szelmowsko i roześmiał się.

- Przysięgam - powiedziała Cathy, podnosząc prawą rękę nad zjedzoną do połowy pizzą - to wszystko, co wiem.

- Bernie Morton zachowuje się nerwowo i wypija drinka z wytwornie ubranym facetem - zadumał się Hale. - Ale co właściwie z tego wynika?

- Zastanawiam się, czy ten gruby facet to tajemniczy Dexter, o którym Bob wspomniał przez telefon - powiedziała Cathy.

- Szkoda, że nie podał imienia. - Hale uniósł brwi.

- Bob powiedział tylko, że jeżeli wpadniesz na pomysł, by sprawdzić komputery w banku, to powinnam powiedzieć ci o Dexterze. I nagle musiał przerwać rozmowę.

- Dexter to nie osoba! - olśniło nagle Hale'a. - To pies.

- Pies?

I wtedy również Cathy sobie przypomniała. Rok temu, kiedy myślała o wzięciu szczeniaczka, Bob wspomniał o labradorze, którego miał w college'u. Wabił się Dexter!

- Ale co pies może mieć wspólnego z bankiem?

- Czy nie rozumiesz? - Dla Hale'a wszystko było jasne.

- Dexter to hasło dostępu.

- Przykro mi cię zmartwić, Sherlocku, ale mylisz się. Zajrzałam dziś do komputera Boba i hasło jest wciąż takie samo, czyli kogel-mogel. - Upiła łyk wody sodowej i dokończyła: - Poza tym sieć w banku jest tak ustawiona, że nie trzeba znać hasła, by wejść w czyjeś katalogi i pliki.

Hale nie wyglądał na zmartwionego. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie człowieka bardzo dumnego z siebie.

- Z kim Bob dzielił mieszkanie w college'u? Cathy podniosła wzrok.

- Bernie... - szepnęła, pojmując już, o co chodzi. - A więc może istnieje plik o tej nazwie w komputerze Berniego? - Rzuciła okiem na zegarek. Była za piętnaście szósta.

- Jeśli wrócimy do banku przed szóstą, nie będziemy musieli meldować się w recepcji. Większość ludzi wychodzi o tej porze do domu.

- Ale będziemy musieli się zameldować, wychodząc - powiedział Hale.

- Często pracuję dłużej. Nikogo to nie zdziwi, a ty możesz podać fałszywe nazwisko.

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Naprawdę zapaliłaś się do tego śledztwa - stwierdził.

Jeśli w którymś momencie życia mogłaby zatrzymać czas, wybrałaby właśnie tę chwilę. Mogłaby przeżyć całą wieczność z łokciami opartymi o lepki blat stołu, wdychając zapach pieczonej pizzy i rozkoszując się pełnym zachwytem spojrzeniem Hale'a. Jednocześnie byłaby wolna od winy, ponieważ Hale podziwiał ją wyłącznie za jej śledcze umiejętności. W gruncie rzeczy nic się pomiędzy nimi nie wydarzyło. A wszystkie jej uczucia i myśli kierowały się przecież w stronę Boba...

Nagle przypomniała sobie, jak w dzieciństwie często musiała słuchać medytującej matki. Po godzinie, powtarzana nieustannie mantra stawała się dla postronnego obserwatora udręką.

Hale siedział na krawędzi biurka w ciemnym gabinecie Berniego Mortona, pochylony tak blisko nad Cathy, że czuł zapach jej perfum. Patrzył na jej skupioną twarz w niebieskim świetle komputerowego ekranu i oddawał się nieprzystojnym marzeniom.

Próbował oddychać spokojnie i widzieć w Cathy jedynie narzeczoną Boba. Szkoda, że wiedział tak wiele o charakterze ich związku i braku entuzjazmu Boba do ożenku. Pewnie dlatego trudniej mu było utrzymać swoje uczucia na wodzy. Żadna inna kobieta tak go nie pociągała. W gruncie rzeczy

nigdy nie spotkał takiej, która wzbudziłaby jego żywsze zainteresowanie.

Dopóki nie porwał Cathy...

Zmusił się do patrzenia na ekran komputera.

- Do roboty! - powiedziała Cathy, z zapalem wstukując nazwę „Dexter”. I już po chwili krzyknęła triumfalnie: - Mam! To jest podkatalog, Hale. - Kliknęła myszą, żeby wyświetlić poszczególne pliki, ale wówczas pokazał się biały ekran.

- Co się dzieje? - zapytał Hale

- Wszystkie pliki z tego katalogu zostały usunięte.

- Może Bernie obawiał się, że ktoś zacznie coś podejrzewać. - Hale potarł brodę. - Ale mamy przynajmniej jakiś ślad. Może jest tu jeszcze coś...

Zaczęli przeglądać szufladę biurka, kalendarz, terminarz spotkań. W końcu Cathy odsunęła komputerową klawiaturę i zaczęła przyglądać się kartce biurowego kalendarza.

- Hale, patrz - powiedziała, wskazując dzisiejszą datę. Na małym kwadraciku było napisane M.H. - 4.30 - To wtedy widziałam go w barze z tym grubym facetem.

- Gruby mężczyzna musi mieć inicjały M.H. - myślał głośno Hale, przeglądając spis telefonów.

Cathy kontynuowała przeglądanie kalendarza. Przy najbliższej sobocie widniał dopisek: Ur. Maxa - 20.30 „Windfall Towers”.

- Mam tu faceta o nazwisku Maxwell Herbert - odezwał się Hale. - Londyński adres. Poczekaj... Kilka lat temu niejaki Maxwell Herbert zamieszany był w sprawę nielegalnych zakładów na wyścigach konnych. Policja nie potrafiła jednak znaleźć niezbitych dowodów jego winy.

- Max to nasz człowiek, bez wątpienia - powiedziała z przekonaniem. - I jutro ma urodziny, zresztą o tej samej porze, o której Bernie obiecał złożyć wizytę swojemu biednemu, choremu przyjacielowi, Bobowi. Podejrzewałam, że

kłamie jak z nut, ale teraz jestem tego pewna. Ciekawe, co to za „Windfall Towers”?

- Powiedziałaś, że Bernie lubi hazard, prawda? Skinęła głową.

- „Windfall Towers” to chyba jakiś nocny klub w Atlantic City. - Zadzwoił do informacji, a gdy odwiesił słuchawkę, uśmiechnął się szeroko. - Czy kiedykolwiek zepsułaś komuś urodzinowe przyjęcie?

- Nie, i nie zamierzam tego zrobić. Nie mogę się tam pokazać! Co się stanie, jak Bernie mnie zobaczy?

- Potrafisz się dobrze przebrać?

- Jestem pewna, że nie tak dobrze jak ty - odparła, patrząc z politowaniem na jego uniform sprzątacza.

- Mówię poważnie. Poza tym, nie chcę, żebyś była dziś sama. Mnie nikt nie będzie łączył z tą sprawą, ale tobie grozi niebezpieczeństwo. Właściwie mogłabyś przenocować u mnie.

Otworzyła szerzej usta i spojrzała wymownie w jego oczy, jakby doskonale wiedziała, dokąd ten pomysł ich zaprowadzi. Prawdę mówiąc, on również wiedział.

- Znam bezpieczniejsze miejsca - stwierdziła, i zabrzmiało to nieco dwuznacznie.

Przez następną długą jak wieczność chwilę patrzyli sobie w oczy, jakby oceniali, na ile niewłaściwy w obecnej sytuacji byłby pocałunek.

- Powinniśmy z tym skończyć - powiedziała cicho, odsuwając się od niego.

- Jesteś zła, że mi się podobasz? - zapytał Hale.

- Tak. - Zdecydowanie kiwnęła głową. - To jest bez sensu. Nie jestem kobietą, jakiej potrzebujesz.

- Och, naprawdę? Moje ciało mówi mi co innego.

- Tak? Uważasz mnie za atrakcyjną tylko dlatego, że... nie stanowią zagrożenia. Mam na myśli - płątała się bezradnie - że nie jesteś typem faceta,

który marzy o żeniactwie. A ponieważ obydwójce wiemy, że postanowiłam pójść do ołtarza z Bobem, traktujesz mnie jak obiekt nieszkodliwego flirtu.

Flirtu! Dobrze sobie! Skąd więc to obojętne, narastające z sekundy na sekundę uczucie tkliwości? Nic nie mówił, tylko na nią patrzył. Nie mógł wydobyć głosu.

- Widzisz... - Odrzuciła nerwowo włosy z twarzy. - Jestem pewna, że moja siostra wyjaśniłaby ci to lepiej. Nie traktujesz mnie poważnie.

- Traktuję - powiedział, zdumiewając samego siebie. Co on robił? Gotów za moment paść przed nią na kolana i...

- Ja... my... - Głos odmówił jej posłuszeństwa. - Musimy zadzwonić do Boba - wykrztusiła, sięgając po telefon.

- Może wie coś o Herbercie. - Podała Hale'owi słuchawkę.

Hale wystukał numer telefonu ojca w Connecticut. Zmarszczył brwi. Oczywiście, nie był wobec niej całkowicie szczery. Może powinien powiedzieć Cathy, że Bob nie był tak zdecydowany na małżeństwo, jak ona? Może powinien ją ostrzec? Nie, nie wolno wtrącać się w takie sprawy.

- Halo! - zagrzmiął po drugiej stronie znajomy ponury głos ojca.

- Tato - powiedział Hale z wyraźnym zawodem. Miał nadzieję, że odbierze Swithin, który poprosi do telefonu Boba.

- Hale, lepiej żebyś miał dla mnie dobre wiadomości! - warknął ojciec.

- Muszę porozmawiać z Bobem.

- Ja również! - wykrzyknął stary Delaney.

- Gdzie on jest?

- Skąd, do cholery, mogę wiedzieć! Uciekł!

- Uciekł?

- Słyszałeś chyba, co powiedziałem? Nie zamierzam się powtarzać jak jakiś sklerotyk!

- Uspokój się, tato. Kiedy Bob zniknął? Cathy podsłuchiwała w napięciu.

- Nie wiem! W całym domu się kotłuje. Boba nie ma. Swithin też zniknął.

- Swithin? - Hale był naprawdę zaskoczony. - Czy zniknęli w tym samym czasie?

- Nie mam pojęcia! Moi ludzie przeszukują okolicę. Żadnego samochodu nie brakuje.

- Kiedy ostatnio go widziano?

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć? Może przy śniadaniu?

- Co się dzieje? - niecierpliwiła się Cathy.

- Kto tam się odzywa? - warknął ojciec.

- Cathy, narzeczona Boba.

- Znowu ona! - huknął Kevin. - Nie spuszczaaj z niej oka. Nie zdziwiłbym się, gdyby to ona pomogła Bobowi uciec!

- Nie wydaje mi się, tato.

- Nigdy przedtem nie uciekał z kamerdynerem...

- Postaraj się go odnaleźć i informuj mnie na bieżąco. - Odłożył słuchawkę. - Bob zniknął - zwrócił się do Cathy.

Patrzyła na niego, próbując ochłonąć po usłyszeniu tej zaskakującej wiadomości. Potem się uśmiechnęła.

- A więc uciekł!

- Być może. - Gdy po raz ostatni widział Boba, brat wyraźnie powiedział, że nie zamierza uciekać. I co to za heca ze Swithinem?

- Jak myślisz, co mu się stało? - spytała trochę zaniepokojona Cathy.

- Wydaje mi się, że nie pozostaje nam nic innego, jak wytropienie jutro Maxa Herberta w Atlantic City.

- Och, Hale... - Cathy umilkła na chwilę. - Chyba nie myślisz, że Bob jest naprawdę w zмовie z jakimiś podejrzanymi typami?

- Nie, nie sądzę - powiedział. - Ale coś mi się wydaje, że mój ojciec zbyt ślepo ufał swemu kamerdynerowi.

## *ROZDZIAŁ ÓSMY*

- Bardziej podobasz mi się jako blondynka - oceniła Joan. - Powinnaś się przefarbować.

- Dzięki za radę - odparła Cathy, kręcąc i przekrzywiając głowę, żeby przyzwycząić się do nowych włosów. Były dłuższe niż jej własne i zdecydowanie bardziej puszyste. Rzeczywiście, wyglądała całkiem inaczej. Z pewnością Bernie Morton jej nie rozpozna. - No nic, to tylko peruka - westchnęła z rezygnacją.

- Musiałam cię trochę podtapirować - powiedziała Joan tonem usprawiedliwienia.

Cathy uważała, że przypomina pudła, szykującego się na wystawę psów. Tak czy owak, kwadrans później za pomocą różowej szminki i niebieskich cieni do oczu dokończyła charakteryzację.

- A teraz gwóźdź programu! - Joan wyjęła z szafki seledynową sukienkę z indyjskiej bawełny. Ostatnio tę kreację Cathy widziała ponad dwadzieścia lat temu. - Ostatni krzyk mody!

- Mój Boże, przecież ona jest okropna. - Cathy skrzywiła się komicznie.

- Pomyślałam, że będzie ci się podobać... Ale mam jeszcze inną, z fioletowym nadrukiem na beżowym tle...

Wybierając mniejsze zło, Cathy wyciągnęła rękę po zieloną sukienkę i szybko ją wciągnęła przez głowę. Niektóre rzeczy, tak jak zanurzanie się w zimnej wodzie, należy wykonywać szybko. Łatwiej wówczas znieść szok.

Jednak kiedy spojrzała w lustro, nie jęknęła z przerażenia ani nie wpadła w histerię, jak się obawiała. Ubrania z okresu jej nieszczęśliwego dzieciństwa, ze znieawidzonych lat siedemdziesiątych, w normalnych warunkach przyprawiłyby ją o nerwowy rozstrój. Teraz jednak ucieszyła się ze swego odmienionego wyglądu.

- Czy nie wydaje ci się, że będę się wyróżniać? - Przechyliła głowę, a burza blond loczków opadła jej na oczy.

- Nie w Atlantic City - zapewniła ją Joan. - Oczywiście, mężczyźni będą się na ciebie gapić. Naprawdę, Cathy, wyglądasz rewelacyjnie.

Cathy zaśmiała się histerycznie.

- Nie chcę, żeby mężczyźni mi się przyglądali - powiedziała. - Zwłaszcza ten facet z banku. Jeśli mnie rozpozna, jestem skończona. .

- Nie martw się. Na twoim miejscu po prostu bym się bawiła, odkrywając swoją drugą osobowość.

Cathy wzdrygnęła się. Posiadanie kilku osobowości kojarzyło jej się wyłącznie ze schizofrenią. Nie znosiła, gdy Joan mówiła, że ludzie mają całą gamę różnych osobowości.

A jednak, gdy przechadzała się po mieszkaniu siostry, w jej peruce i sukience, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w tej teorii jest ziarno prawdy. Ostatnio zrobiła sporo rzeczy, o które nigdy by się nie posądzała.

- Z radością zagram rolę uwodzicielskiego wampa - przyznała, zdejmując sukienkę.

- Rola wampa u boku Hale'a może być przyjemna...

Przez moment Cathy wahała się, czy zwierzyć się siostrze. W końcu uznała, że musi podzielić się z kimś swoimi wątpliwościami. Jej stosunek do Hale'a naprawdę ją niepokoił.

- Jest coś - chrząknęła - o czym ci nie wspomniałam. Chodzi o Hale'a i o mnie...

- No wiesz! - obruszyła się nie na żarty Joan. - Natychmiast wszystko mi opowiedz!

- Pocałował mnie - wyznała Cathy, czerwieniąc się.

- I co? - Joan wstrzymała oddech.

- I dzisiaj powiedział mi, że bardzo go pociągam. No wiesz... Fizycznie.

- Alleluja! - Joan podskoczyła z radości, wymachując poduszką.



- Joan, mówię poważnie. To okropne!  
- Powinnaś świętować. Hale jest fantastycznym facetem.  
- Nawet go nie znasz - argumentowała Cathy, choć w głębi ducha była tego samego zdania. - A co z Bobem? On myśli, że jest dla mnie wszystkim, mamy się pobrać... On na to liczy.

- Skąd wiesz? - zapytała Joan.

- Bob jest stały i solidny, i...

- I do szaleństwa w tobie zakochany?

- No, nie wiem... - W jej głowie kłębiły się sprzeczne myśli. - Tak czy owak, jest nieobecny. Nie może się bronić. Co mam robić?

Joan wzięła głęboki oddech.

- Naprawdę chcesz znać moje zdanie?

Nie do wiary, ale naprawdę chciała. Skinęła głową.

- Przestań się wzbraniać. Uważam, że ty i Hale powinniście pójść na całość.

- Nie mogę przecież zawieść Boba - powiedziała, jakby wbrew sobie.

- Cathy, to przeznaczenie, nie walcz z tym!

- Przestań to w kółko powtarzać! Hale jest bratem Boba.

- Moi pacjenci opowiadają mi o wiele dziwniejsze historie.

- Też mi pocieszenie!

- Co tak naprawdę cię męczy? - Joan usiadła obok Cathy.

- Po prostu... jestem w kropce - przyznała Cathy. - Co by się stało, gdybym nie została porwana? Czy Bob i ja żylibyśmy po ślubie długo i szczęśliwie? A jeśli spotkałabym Hale'a dwa, trzy lata później...

Joan skinęła głową.

- Czy byłoby inaczej? Czy naprawdę wyobrażasz sobie, że mogłabyś poznać Hale'a i się w nim nie zakochać?

Cathy aż podskoczyła na kanapie.

- Kto tu mówi o miłości? - Wstała i pomaszerowała do łazienki zmyć makijaż. Miłość? Czy można było kochać kogoś po dwóch dniach znajomości? Czy Hale Delaney w ogóle znał takie uczucie?

Joan podeszła do drzwi łazienki i oparła się o framugę.

- Zauważyłam, w jaki sposób na ciebie patrzył - powiedziała z uśmiechem.

- W jaki? - Jakby musiała pytać! Nigdy tak bardzo nie pragnęła mężczyzny. Nigdy nie знаła mężczyzny, który by jej pragnął tak mocno. Czują, że powinna podjąć jakąś decyzję.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - zapytała Joan.

Czy chciała? Jutro będzie z Hale'em w Atlantic City. Sam na sam. Być może ostatni raz... Rozprawdzając mleczko po twarzy, skinęła na siostrę, żeby mówiła dalej.

- Tak jak spragniony na pustyni patrzy na bukłak z ożywczą wodą - oznajmiła Joan.

Cathy poczuła pod powiekami łzy. To porównanie chyba przypieczętowało jej los... Prawdę mówiąc, Bob nigdy nie patrzył na nią jak spragniony pielgrzym... Och, Bob! Czy on kiedykolwiek jej wybaczy?

- Hale - wyszeptała Cathy, gdy wchodzili do olśniewającego foyer hotelu „Windfall Towers”. - Ludzie na nas patrzą.

- Mężczyźni patrzą na ciebie, kochanie.

Czy mężczyzna przy zdrowych zmysłach mógł na nią nie patrzeć? Wyglądała bardzo seksownie w blond peruce i sukience podkreślającej jej kształty - kształty, które dotąd skrywała pod luźnymi, nietwarzowymi kostiumami. Nie był w stanie oderwać od niej oczu.

Przyjechali razem z Manhattanu ciasnym dżipem, milcząc całą drogę, zaaferowani faktem, że Bob przepadł jak kamień w wodę. Hale zmuszał się do obserwowania drogi, siłą odrywając wzrok od ponętnych kształtów współpasażerki. On sam ubrany był dość tradycyjnie - w czarne spodnie i białe

podkoszulek pod kraciastą marynarką. Tylko na szyi miał dwa złote łańcuchy. Uważał, że tworzyli malowniczą parę, ale tak naprawdę tylko Cathy przykuwała wzrok. Mężczyzna musiałby być ślepy, żeby na nią nie patrzeć. Chwilami Hale żałował, że nie ma płaszcza, by ją okryć.

Zerknął teraz w stronę głównej recepcji.

- Zachowuj się naturalnie - poinstruował Cathy.

W odpowiedzi Cathy poprawiła na nosie nienaturalnej wielkości okulary słoneczne i roześmiała się głośno.

- Jak mogę zachowywać się naturalnie w tych zwariowanych butach na koturnach?

Hale wziął ją pod rękę i uśmiechnął się. Prawdę mówiąc, nie miałby nic przeciwko temu, by ten dzień trwał jak najdłużej. Być może złapią złodzieja i znajdą Boba, a wtedy... Jeśli Cathy będzie się upierać przy swoich ideałach życiowych, ich krótkotrwała znajomość przejdzie do historii.

Sama myśl, że może ją stracić, przyprawiała go o bolesny skurcz serca. Pocałował ją tylko raz, a już pożądał niczym narkotyku. Podobało mu się jej specyficzne, nieco zgryźliwe poczucie humoru i zadziorność. Postanowił, że zanim dzień się skończy, porozmawia z nią o sobie... i o Bobie. Nie zamierzał z nią jedynie flirtować. W grę wchodził dłuższy związek...

Jednak wyglądała tak ślicznie, tak kusząco, że nie w głowie mu były poważne rozmowy. Chciałby po prostu wziąć ją w ramiona i udowodnić, że nie powinna poślubić Boba.

Zatrzymał się przy kontuarze recepcji, z trudem odrywając uwagę od Cathy.

- Gdzie odbywa się przyjęcie Maxa Herberta?

Recepcjonista, młody pryszczaty chłopak - zdaniem Hale'a zbyt zainteresowany Cathy - zmusił się, by spojrzeć na leżący przed nim czarny notes.

- W sali balowej - odparł po chwili. - O ósmej trzydzieści. - A potem wychylił się przez marmurowy blat, by popatrzeć na nogi Cathy.

- Chcemy wynająć pokój - powiedział Hale cierpkim tonem, piorunując wzrokiem chłopaka.

- Pokój? Wszystkie są już zarezerwowane.

- Weźmiemy cokolwiek - mruknął Hale, dobrze wiedząc, że „zarezerwowany” nie znaczy „zajęty”.

- O ile będzie tam wielkie łóżce - wtrąciła nieoczekiwanie Cathy. Zaśmiała się prowokująco. - Przecież zawsze powtarzasz, że lubisz to najbardziej robić, kiedy mamy dużo miejsca. - Puściła do niego oko, po czym zwróciła się do recepcjonisty: - Na pewno znajdziesz coś wolnego, słodziutki. Mamy jeszcze cztery godziny do rozpoczęcia przyjęcia i nie chcemy się nudzić.

- Aha... - Recepcjonista był czerwony jak burak. - Nie wiem, właściwie...

- A te gustowne pokoje z łóżkiem w kształcie serca czy coś w tym rodzaju? - naciskała Cathy.

Pryszczata twarz chłopca stała się purpurowa.

- Ma pani na myśli pokój tematyczny?

- Właśnie, pokój tematyczny! - podjęła Cathy radośnie.

- Mamy wolny apartament haitański - powiedział recepcjonista do Hale'a, który miał nieco nieprzytomny wzrok. Nie spodziewał się, że Cathy tak świetnie wczuje się w rolę.

- Haiti! - zapiszczała Cathy i zaczęła podskakiwać jak zwycięzca głównej nagrody w „Kole Fortuny”.

Hale pokręcił głową ze zdumienia.

- Będzie odpowiedni - powiedział i wpisał ich do księgi meldunkowej jako Harolda i Harriet Hughes z Queens. A gdy znaleźli się wreszcie sami w windzie, zauważył z nutą przygany w głosie: - Nie wiedziałem, że jesteś taką świetną aktorką.

- Co masz na myśli?

- Wprawę, z jaką wybierałaś pokój w recepcji.
- A co niby mielibyśmy robić przez te cztery godziny?

Gdy drzwi windy rozsunęły się, przepłynęła przez nie, kręcąc zmysłowo biodrami. Hale, całkiem zbity z tropu, ruszył za nią, zupełnie nie wiedząc, czego jeszcze powinien się spodziewać.

Haitański apartament okazał się godny swej nazwy. Było tu mnóstwo roślin w doniczkach, a wszystkie meble ozdobione były motywem w kształcie orzecha kokosowego. Na podłodze leżał gruby, bardzo puszysty zielony dywan, a ściany pokrywała złota tapeta w białe cętki. Łoże z baldachimem spowijała siatka, narzuta zadrukowana była wzorem przedstawiającym dżunglę.

Hale i Cathy stali przez chwilę w drzwiach jak zamurowani. W końcu Hale zdecydował się wejść.

- Mam nadzieję, że tubylcy są przyjaźnie nastawieni. Podążyła za nim, gapiąc się na imitacje obrazów Gauguina.

- Mój Boże! - wykrzyknęła, obracając się dookoła. - To przypomina scenerię z filmu grozy.

Hale skinął głową.

- Brakuje tylko gigantycznych, zmutowanych komarów.

- Myślę, że siatka przy łożu z baldachimem ma imitować moskitierę.

Zrzuciła buty i podeszła do królewskich rozmiarów łoża. Hale zawrócił w stronę drzwi, próbując wymyślić jakiś pretekst do jak najszybszego opuszczenia pokoju.

- Co byś powiedziała na odrobinę hazardu? - zasugerował. - Możemy przegrać trochę pieniędzy przed kolacją.

- Dziękuję bardzo. Nigdy mnie to nie pociągało.

Nie, oczywiście, że nie. Nienawidziła przecież ryzyka. Jednak jeśli nie wyjdą natychmiast z pokoju, Hale zapomni o lojalności w stosunku do Boba. Nie będzie chciał pamiętać że ta cudowna istota jest narzeczoną jego brata.

- To może pospacerujemy po molo? - spytał łamiącym się z rozpaczy głosem. Usłyszał cichy dźwięk uginającego się pod Cathy materaca i poczuł, że jeśli zaraz stąd nie wyjdzie, zacznie zdzierać paznokciami tapetę.

- Nie, dziękuję. - Popatrzyła na niego pociemniałymi nagle oczami, w których, mógłby przysiąc, dostrzegł pożądanie. - Hale, dlaczego się nie odprężysz? - Z uśmiechem odwróciła się do ściany i zaczęła manipulować przy wyłączniku światła.

- Jestem zrelaksowany - powiedział sztywno. Ale kiedy pokój utonął w przyćmionej, zmysłowej poświacie, poczuł się tak podekscytowany, że odwrócił się nerwowo i zaczął sprawdzać zawartość szafy. Może z nią porozmawiać? - rozmyślał gorączkowo, energicznie przesuwając wieszaki.

- Nie wyglądasz na zrelaksowanego - zamruczała z łóżka. - A może byś...?

W ułamku sekundy kuszące pytanie zamieniło się w przejmujący krzyk. Hale obrócił się na pięcie. W pokoju rozległ się dziwny dźwięk, a biedna Cathy rzucała się jak opętana na falującym pod nią łóżku.

- Hale, zatrzymaj to! - krzyczała, wyciągając rękę w kierunku nocnego stolika i bezsilnie wymachując nogami w powietrzu. - To jest żywe!

Hale bez zastanowienia skoczył na rozhuśtane łożo, Wgramolił się na Cathy i w końcu udało mu się nacisnąć umieszczony na ścianie wyłącznik. Materac znieruchomiał.

- O mój Boże! - jęknęła Cathy, kiedy Hale bezwładnie opadł na nią. - Co się stało?

Hale zachichotał.

- Magiczny materac.

- Raczej łożo tortur! - zaprotestowała.

Hale wziął głęboki oddech, ale nie udało mu się stłumić podniecenia, które wywołał widok miękkich, zaokrąglonych piersi Cathy.

- No więc, dobrze - powiedziała, udając, że nic się nie stało. - Mówiłeś coś o małym spacerze?

- Nie wyraziłaś zainteresowania - przypomniał jej.

- Ach, prawda, miałam zamiar wziąć... - Odwróciła od niego spojrzenie. - Zdrzemnąć się, a może... Wspominałeś coś o grach hazardowych?

- Nie uprawiasz hazardu - powiedział beznamiętnie. - Nie lubisz pozostawiać niczego przypadkowi, pamiętasz?

Kiedy spojrzał w jej oczy, tak łagodne i wrażliwe, miał ochotę powiedzieć jej o wszystkim, co do niej czuł. Chciał jej powiedzieć, że nie powinna wychodzić za Boba, skoro była zakochana w nim, ale bał się, że gdy tylko wspomni imię brata, ulotna chwila szczęścia natychmiast pierzchnie.

Mimo wszystko musiał jakoś dać jej do zrozumienia, że nie chodziło mu tylko o seks...

- Cathy, jest coś, co chciałbym zrobić, ale...

- Ja również - powiedziała.

- Naprawdę? - Może ona także doszła do wniosku, że nadszedł czas, by omówić pewne sprawy. - Co takiego?

- To. - Chwyliła go za klapy marynarki, przyciągnęła do siebie i przywarła do jego ust.

- Cathy, ja... - Hale odsunął się, niezdecydowany.

Ale Cathy podniosła palec do ust i powstrzymała go od wypowiedzenia następnego słowa. Przynajmniej raz w życiu nie chciała kierować się rozsądkiem. Nie miała ochoty rozmawiać, planować ani myśleć o przyszłości. Pragnęła zupełnie świadomie popełnić błąd i cieszyć się nim.

- Chciałabym spędzić tu z tobą noc, Hale - wyszeptwała. - Pragnęłabym mieć przed sobą cztery miesiące, a nie cztery godziny.

- Ja również - odparł z oczami pociemniałymi z pożądania.

- Wiem...

Chwilę później Cathy widziała jedynie gwiazdy i komety, cały wszechświat zawirował w szaleńczym tańcu...

## *ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY*

Cathy przytuliła twarz do piersi Hale'a i kołysała się leniwie w rytm sentymentalnej ballady o miłości, którą zawodził artysta przy pianinie. W hotelowym barze unosił się zapach zwietrzałego piwa, wzmacniacz chrypiał, a umiejętności wykonawcy pozostawiały wiele do życzenia, ale Cathy to nie przeszkadzało. Wydawało jej się, że jeszcze nigdy nie była w przyjemniejszym miejscu i nigdy nie słyszała piękniejszej piosenki.

- Jest ósma trzydzieści - szepnął jej do ucha Hale.

- Hmm. - Przytulała się do niego od ponad godziny, prawie się nie poruszając.

- Musimy zacząć działać.

Cathy spojrzała na Hale'a bezradnie, zamglonymi od namiętności oczami.

- Jeszcze jedna piosenka?

- Powiedziałaś to pięć piosenek temu - przypomniał.

- W porządku, Sherlocku - ustąpiła niechętnie. Hale zaśmiał się.

- Za mną, drogi Watsonie.

Weszli do rześkiego oświetlonego głównego holu i skierowali się prosto do recepcji. Chłopaka, który obsługiwał ich po południu, zastępował inny młodzieniec, pochłonięty teraz lekturą książki.

- W czym mogę panu pomóc? - spytał, niechętnie odrywając się od lektury.

- Chcielibyśmy posłać drinka do pokoju Maxa Herberta - wyjaśnił Hale.

Młody człowiek wskazał trzy telefony na przeciwległej ścianie.



- Może pan zadzwonić do obsługi hotelowej, korzystając z wewnętrznego telefonu.

- W którym pokoju mieszka pan Herbert? Recepcjonista niechętnie wprowadził nazwisko do swojego komputera.

- Apartament 10 A.

Hale i Cathy podeszli do telefonów. Hale podniósł słuchawkę i powiedział stanowczym głosem:

- Proszę posłać butelkę najlepszego szampana do apartamentu 10 A.

Jak dotąd wszystko szło gładko. Kiedy czekali na windę, dołączył do nich mężczyzna.

Cathy zamarła. Tego właśnie się obawiała. Bernie Morton, ubrany elegancko w garnitur i krawat, ale mocno pachnący burbonem, zaczął jej się przyglądać z jawnym zainteresowaniem. Odwróciła się i objęła Hale'a, mając nadzieję, że na jej twarzy nie widać niepokoju. Hale pochylił się i mocno pocałował ją w usta. Przytuliła się do niego, w ciepłe jego ramion na chwilę pozbywając się obaw.

We trójkę weszli do windy. Hale nacisnął przycisk dziesiątego piętra, po czym uprzejmie spytał Berniego:

- Pan na które?

- Na szóste. - Bernie uśmiechnął się w odpowiedzi. Podczas jazdy Cathy miała duszę na ramieniu. Była pewna, że Bernie nie spuszcza z niej oka.

Kiedy winda wreszcie dowiozła Berniego na szóste, Cathy oparła się bezwładnie o Hale'a.

- Czy myślisz, że mnie poznał?

- Mam nadzieję, że nie.

- Jeśli mnie rozpoznał, domyśli się, że coś knujemy. Wiedziałam, że to był zły pomysł! Powinniśmy wrócić do Nowego Jorku i zawiadomić policję!

- Uspokój się - powiedział Hale, gdy wysiedli na dziesiątym piętrze. - Wszystko będzie dobrze.

- Dobrze? - syknęła. - Och tak, Bob zniknął, ja wyglądam jak zdzira, a Bernie Morton pewnie zastanawia się, dlaczego żona jego najlepszego przyjaciela sunie w przebraniu u boku nieznanego mężczyzny do pokoju Maxa Herberta.

- Są również inne pokoje na tym piętrze - szepnął Hale, kiedy zatrzymali się przed apartamentem 10 A.

Popatrzyła na niego sceptycznie.

- On wie. Wiem, że on wie. Patrzył na mnie tak dziwnie. Hale zaśmiał się.

- Bo wyglądasz dziwnie. - A kiedy posłała mu miażdżące spojrzenie, dodał, głaszcząc ją uspokajająco po plecach: - Uspokój się. Nie możemy się teraz wycofać. Wkrótce rozwikłamy tę sprawę.

- Albo będziemy martwi.

Winda ponownie zatrzymała się na dziesiątym piętrze, drzwi rozsunęły się bezszelestnie, a Cathy i Hale wyprostowali się jak na komendę. Cathy spojrzała na Hale'a, powtarzając w myślach wyuczone sekwencje.

- Nie masz go? - rzuciła głośno.

Hale zamrugał oczami. Ale w momencie, kiedy zza rogu wyłonił się kelner z wózkiem, przypomniał sobie swoją kwestię, zaczął klepać się po marynarce i grzebać w kieszeniach.

- Musiałem go zostawić.

- Och, Max, ty niezdaro! - Przewróciła oczami.

- Nie zaczynaj! - Wycelował palec w jej twarz.

- Już trzeci raz zatrasnąłeś drzwi do pokoju! Kelner przystanął niezdecydowany.

- Trzeba zadzwonić po drugi klucz.

- Zadzwonić?! - Cathy krzyczała. - Pokój jest zatrzaśnięty! Trzeba zjechać na dół, do recepcji!

- Mam klucz, proszę pana - wtrącił się kelner.

Hale odwrócił głowę w jego stronę, uśmiechnął się i spojrzał z naganą na Cathy.

- Kelner ma klucz - warknął. - Po co te nerwy?

Kłócili się nadal, gdy kelner wprowadził ich do pokoju, otworzył przyniesioną butelkę szampana, przyjął napiwek od Hale'a i dyskretnie zniknął.

Kiedy odszedł, Cathy rzuciła się na łóżko przykryte narzutą w burbońskie lilie.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy. - Rozglądała się po wnętrzu z nie ukrywaną ciekawością. Pokój był urządzone niezwykle oryginalnie, tak jak apartament haitański, lecz tutaj motywem przewodnim był Paryż.

- A ja tak - odpowiedział Hale poważnie. - Bierzmy się do roboty. - Zaczął otwierać szafy i szuflady.

Cathy wstała i przeszła do drugiego pokoju. Na połączonym białym stoliku przy oknie zobaczyła to, czego szukała. Walizeczkę z laptopem!

Podsłoczyła do niej, zdjęła ochronny futerał i wyciągnęła komputer. Włączyła go i po kilku sekundach weszła do systemu. Po przejrzeniu kilku stron, klasnęła w ręce. Znalazła wreszcie owo tajemnicze hasło „Dexter”!

- Hale!

Pojawił się natychmiast i kucnął obok niej. Otworzyła katalog i na ekranie pojawiła się lista plików. Kliknęła plik „Delaney”. Pojawiła się strona z wykresami, a potem kilka następnych z datami transakcji bankowych.

- To jest to! - powiedział zadowolony Hale. - Zestawienie wypłat z First International Bank. Księgowy ojca miał rację. Złodziej wybierał odsetki należne firmie „Delaney” i deponował je na koncie bankowym za granicą. Bez wątplenia na Kajmanach.

Cathy szybko włożyła dyskietkę i skopiowała plik.

- Ale kto to jest? - zapytała. - Kto to robił? Bernie Morton? Max Herbert? Bob...?

Hale zmarszczył brwi.

- Wątpię, by aż trzech mężczyzn defraudowało pieniądze z jednego konta.

Przez głowę Cathy przemknęła okropna myśl. Była tak skoncentrowana na problemie rodziny Delaneyów, że nie brała pod uwagę możliwości wystąpienia kradzieży zakrojonych na o wiele szerszą skalę.

- Och, Hale - westchnęła z przerażeniem - Te wszystkie inne nazwiska...

- Jest tu tyle salami, że można otworzyć delikatesy - zauważył Hale z przekąsem, kiedy Cathy kopiowała dane na dyskietkę.

- Ale Bob... - szepnęła z żalem. - Czy on naprawdę mógł być w to zamieszany? Dlaczego się ukrywa? - spytała, wręczając Hale'owi dyskietkę.

- Bob powiedział mi, że jest niewinny - rzekł Hale. - Ja mu wierzę.

- To dlaczego nagle zmienił plany i zaproponował podróż na Kajmany? Pewnie tam już jest, ale beze mnie!

Hale popatrzył na nią badawczo.

- Może to niewłaściwa pora, ale muszę poinformować cię, co wyznał mi Bob. Powinienem powiedzieć ci to po południu. Albo nawet wcześniej...

Na widok jego poważnej twarzy, poczuła skurcz w okolicach żołądka. Wiedziała, że usłyszy coś niezbyt miłego.

- Nie musisz nic przede mną ukrywać, Hale.

- Kiedy rozmawiałem z Bobem o tobie i o waszym ewentualnym ślubie...

- Hej, wy dwoje!

Hale i Cathy, zaabsorbowani poważną rozmową, aż podskoczyli na dźwięk czyjś szorstkiego głosu. Kiedy się z przerażeniem obrócili, zobaczyli stojącego w drzwiach mężczyznę. Cathy poczuła, jak twarz jej tężeje ze zdumienia.

- Bob?!

Niebieskie oczy za okularami były okrągłe jak spodki.

- Cathy?

Co on tu robił? Czy był zamieszany w tę aferę? Czy to właśnie Hale usiłował jej przed chwilą powiedzieć?

Zanim zdążyła otworzyć usta, Bob stracił równowagę, tak jakby został przez kogoś popchnięty. Cathy złapała go za ręce i pomogła mu ustać na nogach. Do pokoju wtargnęło z impetem trzech mężczyzn.

Pierwszy wszedł Swithin, w ciemnoszarym garniturze i błyszczących butach. Potem Bernie, który wydawał się lekko zakłopotany. I w końcu Max Herbert we własnej osobie, z imponujących rozmiarów pistoletem w ręce.

Serce Cathy biło jak oszalałe, gdy zerkała z ukosa na Hale'a. Odpowiedział jej spojrzeniem tak spokojnym i pełnym miłości, że twardo popatrzyła na mężczyznę z pistoletem, usiłując stłumić narastające uczucie paniki.

- Swithin, ty zdrajco! - krzyknął Hale do starego służącego. - I pomyśleć, że miałeś czelność mówić o kamerdynerach, którzy nie oczekują podziękowań!

Swithin wykrzywił szyderczo usta.

- Po prostu zapomniałem dodać, że wolimy inne wynagrodzenie.

- Jesteś niewdzięcznikiem!

Nawet słuchając obelg, Swithin zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

- To prawda, proszę pana, ale dziwię się, że to właśnie pan stawia mi tego rodzaju zarzut. Odwrócił się pan od ojca wiele lat temu.

- Nie okradałem go! - rzucił ostro Hale. - I nie zdradziłem.

- Ten biedny stary człowiek nie miał żadnej pociechy z synów - powiedział Swithin. - A ja wziąłem tylko trochę jego pieniędzy, czego normalnie nawet by nie zauważył, tak jak nikt nie odkrył pierwszej drobnej kradzieży Berniego. Nawet księgowy pana Kevina.

- Nie zamierzałem wziąć dużo. Naprawdę nie - jęknął Bernie żałośnie.

- Ale kiedy cię nakryłem i poradziłem, byś zadziałał śmielej, nie oponowałeś, prawda? - wtrącił Swithin. A ponieważ Bernie milczał jak zakłęty, kamerdyner pokiwał głową i dodał: - Bernie próbuje udawać skruszonego grzesznika, ale tak naprawdę był zachwycony, kiedy poznałem go z wujem Maxem.

- Twoim wujem! - zawołał Hale. Swithin skrzywił się nieprzyjemnie.

- Nigdy nie przyszło panu do głowy, że również służący może mieć ustosunkowanych krewnych?

- Ustosunkowanych w półświatku przestępczym - stwierdził Hale ponuro.

- To wystarczy. - Swithin zwrócił się do swego krewnego: - Wujku, poznaj drugiego syna mojego byłego pracodawcy, pana Hale'a Delaney'a. Och, a kobieta jest... - prychnął pogardliwie - narzeczoną pana Boba.

Max Herbert uśmiechnął się obleśnie, pokazując garnitur ostro zakończonych, olśniewająco białych zębów i powiedział z lekkim angielskim akcentem:

- Rewelacyjna dziewczynka, ale niezbyt bystra, prawda? Nawet w tym przebraniu została rozpoznana przez Berniego.

- Nie ujdzie to panu na sucho, panie Herbert! - wypaliła. - Mam dyskietkę, dzięki której udowodnię pańską winę i pošlę pana do więzienia.

- To świetnie. - Zaśmiał się nieprzyjemnie. - Ale mylisz się w najważniejszym punkcie. Na razie to ja złapałem ciebie.

Złapana? Jeszcze nie! Okręciła się wokół własnej osi, porwała torebkę ze stolika z komputerem i zaczęła biec tak prędko, jak tylko pozwalały na to buty na koturnach.

- Łapcie ją! - krzyknął Max.

Mogła uciec tylko przez sypialnię. Modliła się, żeby była tam druga para drzwi - i była, z wymalowaną wieżą Eiffla.

Kiedy zerknęła do tyłu, okazało się, że ściga ją Swithin. Przeskoczyła przez łóżko, ale i on przesadził je z łatwością. Kto by pomyślał, że jest taki sprawny i szybki?

- Swithin, kretynie, złap ją! - Głos Maxa, który biegł za nimi, był wyjątkowo donośny. - I zabierz dyskietkę!

Ostatnie słowa podziałały na Cathy jak smagnięcie biczem. Jednym susem dotarła do drzwi i udało jej się nawet je otworzyć, gdy nagle stalowa dłoń

zaczisnęła się na jej ramieniu i pociągnęła ją w tył. Swithin obrócił ją wkoło. Dostrzegła Hale'a szamoczącego się z Herbertem; w pewnej chwili grubas walnął Hale'a w twarz pistoletem.

- Nie! - krzyknęła.

Hale upadł i znieruchomiał. Chciała do niego podbiec, ale Swithin boleśnie wykręcił jej ramię.

- Ty kreaturo! - warknęła w stronę Maxa.

Zaśmiał się jej prosto w twarz, a potem spojrzał na nią groźnie.

- Oddaj dyskietkę! - zażądał.

Cathy wolno przelknęła ślinę. To Hale miał dyskietkę, ona miała tylko...

Z ponurą miną, by się nie zdradzić, sięgnęła do torebki i wyciągnęła pustą dyskietkę. Zdażyła skopiować pliki tylko na tę, którą w ostatniej chwili dała Hale'owi. Ukrywając triumf, wręczyła pustą dyskietkę Maxowi Herbertowi.

- Zapłacisz za wszystko, i to bardzo wysoką cenę - powiedziała, pokładając w Bogu nadzieję, że tak się rzeczywiście stanie.

- Moja droga, wyglądasz jak zraniona łania - rzekł kpiąco i zaraz dodał szorstko: - Ruszajmy. - Złapał ją mocno za drugą rękę i obaj ze Swithinem wypchnęli ją za drzwi.

- Dokąd idziemy? - spytała, zapierając się z całej siły nogami o dywan.

- Wybierzemy się na przejażdżkę - odpowiedział Herbert. - A raczej na wycieczkę lotniczą. Czy byłaś już na Kajmanach?

- Nie. - Omal się nie rozplakała.

Gdy byli za drzwiami, zatrzymał ich Bernie. Stał za Bobem, niezdarnie grożąc mu pistoletem.

- Co mam z nimi zrobić? - zapytał, wskazując na nieruchomo leżącego Hale'a.

Max wskazał paluchem na Cathy.

- Mamy dziewczynę i dyskietkę. Zostaniesz tutaj z braćmi Delaneyami. Jeśli którykolwiek z nich spróbuje brykać, możesz im pogrozić, że już nigdy nie odnajdą naszej młodej panny Marple\*.

Cathy obrzuciła smętnym spojrzeniem Hale'a. I Boba. Prawie o nim zapomniała... A przecież był niewinny.

- Zadzwoń na policję! - krzyknęła do niego. - I pomóż Hale'owi!

Przestraszone oczy Boba były ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, nim wywleczono ją na korytarz.

- Hale?

Powoli uniósł powieki. Oślepiające światło spowodowało, że znów je lekko przymknął, ale zdążył rozpoznać pochylającą się nad nim sylwetkę. Bob!

Jego brat poprawił na nosie okulary w drucianej oprawce i zamrugął oczami.

*\* Panna Marple - starsza pani o zamiłowaniu detektywistycznym, bohaterka kilku powieści Agathy Christie.*

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście, poza tym, że uderzono mnie łodem - powiedział Hale. - A co ty tu robisz? - Zanim Bob zdążył odpowiedzieć, Hale błyskawicznie odzyskał pamięć i poderwał się do pozycji siedzącej. - Gdzie jest Cathy?

- Nie jestem pewien... - Bob załamał ręce.

- Swithin! - przypomniał sobie Hale. - Czy to on cię uprowadził?

- Bernie, Max i Swithin planowali uciec razem z kraju dziś w nocy.

Jednak kiedy Swithin zdał sobie sprawę, że wrócił na Manhattan, żeby węszyć wokół banku, wpadł w panikę i wziął mnie ze sobą, obawiając się, że mogę za dużo wiedzieć.

Hale potarł obolałą skroń i zmarszczył brwi.

- Kto splądrował mieszkanie Cathy?



- Bernie. Chciał się dowiedzieć, dokąd wybieramy się na miodowy miesiąc. Kiedy zobaczył bilet na Kajmany, zrozumiał, że wpadliśmy na jego trop i zaczął się bać. Teraz niestety tylko on nam pozostał. Max Herbert i Swithin zabrali Cathy i dyskietkę, na którą skopiowaliście dane z komputera.

Hale rozglądał się wokół, próbując uporządkować fakty. Byli zamknięci w hotelowej łazience. Sięgnął do kieszeni i poczuł dyskietkę, którą Cathy wręczyła mu dosłownie na chwilę przed pojawieniem się Maxa Herberta i reszty zbirów. Powoli rozjaśniało mu się w głowie. Musi się stąd wydostać, by odszukać Cathy. Musi do niej dotrzeć, zanim Herbert odkryje, że go oszukała.

- Powiedziałeś, że Bernie jest sam? Bob pokiwał głową.

- Jest uzbrojony, Hale. Nie wiem, co możemy zrobić...

- Jesteś jego przyjacielem.

- Byłem jego przyjacielem - powiedział Bob z goryczą w głosie.

- Ale nadal wiesz, jak on rozumuje. Powiedziałeś, że wpadł w panikę. A jak by zareagował, wiedząc, że grozi mu więzienie? - Hale wyciągnął dyskietkę i krótko wyjaśnił, skąd ją ma.

Po chwili Bob przywołał Berniego pod drzwi łazienki.

- Musisz nas uwolnić, Bernie - powiedział spokojnie. - Hale twierdzi, że obciążająca cię dyskietka znajduje się w rękach policji.

- Nie wierzę!

- Ale to prawda. Dyskietka, którą Cathy dała Maxowi, była pusta. Jeśli nam teraz pomożesz, policja potraktuje cię łagodnie.

Za drzwiami zaległa cisza. Hale popatrzył na Boba. Jeśli ten fortel nie wypali, zamierzał wyważyć drzwi i próbować ucieczki.

- Jak łagodnie? - odezwał się w końcu Bernie.

- Nie pójdziesz do więzienia - powiedział Hale, uśmiechając się z satysfakcją. - Jeśli pomożesz schwycić Maxa Herberta, kto wie? Może nawet nie stracisz pracy w banku?

- Może nawet dostaniesz awans - dodał zachęcająco Bob, kiedy nie było odpowiedzi.

- Jestem policjantem, Bernie. - Hale, coraz bardziej zniecierpliwiony, uderzył pięścią w drugą dłoń. - Mógłbym przekonać federalnych, żeby twój udział w sprawie potraktowali jako zamierzoną prowokację. Puszczą cię wolno, jeśli im podasz na widelcu taką grubą rybę jak Herbert.

- Bo ja rzeczywiście jestem tylko płótką - odezwał się cicho Bernie. - Kradłem grosze, aż pojawił się Swithin i przekonał mnie, że mogę wziąć więcej...

- Oczywiście - przyznał Hale. - Pomyśl, jak bardzo wdzięczny będzie ci bank, jeśli pomożesz unieszkodliwić Maxa.

- Jestem pewien, że zostałbyś pracownikiem miesiąca - powiedział Bob z uśmiechem.

Ten argument przeważył. Dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku i drzwi się otworzyły.

Hale natychmiast złapał Berniego za kłapy i przycisnął jego wątłą postać do ściany.

- Gdzie ona jest?! - krzyknął. - Dokąd, do cholery, zabrał ją Max Herbert?

Bob, poruszając się szybko i z dużą pewnością siebie - co zdumiało Hale'a - przeszukał swojego przyjaciela i wyciągnął z jego kieszeni małokalibrowy pistolet.

- Lepiej nam powiedz, Bernie.

Bernie, potrząsając gwałtownie głową, wykrztusił w końcu:

- Max ma samolot na prywatnym lotnisku w Somerset. Bob spojrzał na Hale'a.

- Falszywe konta, które otworzyli ze skradzionych pieniędzy, są na Kajmanach.

- Miałem tam lecieć jutro, kiedy doprowadzimy sprawy do końca - poskarżył się Bernie. - Nie wiem, dlaczego Swithin pojechał, a ja nie...

- Herbert uznał, że wypadłeś z gry i wrobił cię - powiedział Hale. - Wystawił cię na odstrzał, dekując się bezpiecznie za granicą. Czy nie wpadło ci to do głowy?

Oczywiście, że nie wpadło. Twarz Berniego przybrała chorobliwie zielonkawy odcień.

- Ale przecież to ja ryzykowałem najbardziej! Mogłem stracić pracę!

Hale popchnął Berniego do łazienki i już miał zamiar zamknąć drzwi, kiedy nagle Bob wysunął się do przodu i jednym silnym ciosem powalił swego przyjaciela na podłogę.

- Nie powinienem tego mówić, ale cóż to za wspaniałe uczucie! - Bob wyszczerzył zęby w promiennym uśmiechu.

Kiedy Bob zamykał nieprzytomnego Berniego w łazience, Hale podbiegł do telefonu i wykręcił numer policji. Zgłosił porwanie i poprosił o wysłanie ludzi na lotnisko. Potem rzucił słuchawkę i pognął do drzwi, ciągnąc za sobą Boba.

- Czy policja może aresztować Herberta za defraudację? - zapytał Bob, kiedy Hale wepchnął go do taksówki i podał taksówkarzowi nazwę lotniska.

- Na razie nie. Zatrzymają go za porwanie, a ja jak najszybciej dostarczę władzom dyskietkę. Na jej podstawie Urząd Skarbowy bez problemu oskarży go o defraudację.

- Dobrze pomyślane - pochwalił brata Bob.

Hale nerwowo bębnił palcami w siedzenie. Jeśli nie dotrą na lotnisko przed odlotem samolotu, cały plan weźmie w łeb. A wtedy być może straci Cathy na zawsze.

## *ROZDZIAŁ DZIESIĄTY*

- Nie zamierza pani zapiąć pasa, panno Marple? - zapytał Max.

- Nie widzę potrzeby - odpowiedziała, wydymając usta.

Max skrzywił się, a wtedy jego podwójny podbródek utworzył trzecią fałdę.

- Zaraz wzniesiemy się w powietrze, moja droga.

Boże, jakże go nienawidziła! Jeszcze dziś po południu była taka szczęśliwa w ramionach Hale'a i gdyby nie ten odpychający drań i jego służalczy kuzyn, sielanka trwałaby nadal. Co za pech, że porywano ją zawsze, gdy w jej życiu miał dokonać się zasadniczy przełom na lepsze. Nie zamierzała dać się zastraszyć porywaczom.

- Ten samolot nie wystartuje - powiedziała, unosząc hardo podbródek.

W tym momencie zawarczmy silniki i kilkunastoosobowy samolot, trzęsąc się i kołysząc, zaczął majestatycznie sunąć w stronę pasa startowego.

- Chyba się mylisz, moja droga - powiedział Max.

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie, pamiętając o jedynym atucie, jaki posiadała. O dyskietce. Nie była pewna, do czego będzie zdolny Max, gdy odkryje, że dowód przestępstwa jest poza jego zasięgiem. Czy będzie chciał wrócić, by go odzyskać, czy raczej ta wiadomość zdopinguje go do ucieczki z kraju?

Nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Samolot nieubłaganie zmierzał w stronę pasa startowego.

- Pomyliłam się jedynie w sprawie dyskietki - powiedziała pewnym siebie tonem.

- Co jest z dyskietką? - Twarz mu stężała.

- Sprawdź ją! Być może zmienisz plany.

Max zwrócił się do Swithina, ten zaś wyciągnął laptop spod siedzenia i włożył do niego dyskietkę. Po krótkiej chwili były kamerdyner spojrzął na swego wuja, nie kryjąc zdumienia.

- Nic na niej nie ma! - krzyknął. - Jest czysta!

Twarz Maxa poczerwieniała z gniewu. Usiłował poderwać się na nogi, ale zapięty pas skutecznie krępował jego ruchy.

- Zatrzymać samolot! - ryknął. - I połączcie mnie z tym idiotą, Bernieem!

- To nie jego wina - wtrąciła Cathy z nie ukrywaną radością - że wzięłeś dyskietkę, nie sprawdzając jej uprzednio, prawda?

- Jeśli nie odzyskam dyskietki - krzyczał jak opętany - rzucę cię na pożarcie rekinom!

Ton jego głosu i złość malująca się na twarzy świadczyły, że mówi serio. Przerażona Cathy umilkła.

- Bernie nie odbiera telefonu - zakomunikował Swithin. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Po raz pierwszy było widać, że jest nie na żarty zdenerwowany.

- Psiakrew! - pieniał się Max. - Wiedziałem, że ten dupek wszystko zepsuje!

Cathy modliła się, by brak odpowiedzi Berniego oznaczał że Bob i Hale coś zdziałali. Boże miłosierny, oby tylko nic im się nie stało!

- Czy mam zawracać? - zapytał pilot.

- Tak! - zażądał Herbert z taką mocą i tak donośnie, że wszyscy w samolocie drgnęli. Miał oczy nabiegłe krwią i nerwowo szarpał kołnierzyk koszuli. - To znaczy nie Niech Bernie to załatwi!

- Nie możemy zostawić dowodu - przerwał mu Swithin z rosnącą irytacją. Rzucił czystą dyskietkę na podłogę. - Mówiłem ci, że powinniśmy wyjechać, kiedy tylko zamknęliśmy Boba w Connecticut, ale uparłeś się, żeby urządzić urodzinowe przyjęcie!

- Wszystko było zaplanowane od miesiący. To ty spanikowałeś i pojawiłeś się w Atlantic City zbyt wcześnie, w dodatku przywlokłeś ze sobą Boba - odciął się Max.

- Niech Bernie przeszuka Delaneyów - zdecydował rozsądnie Swithin. -  
Możliwe, że w ogóle nie zdążyli skopiować plików na dyskietkę. Bernie powiedział, że Hale i ta dziewczyna byli w twoim apartamencie bardzo krótko.

- Czy zrobiliście kopię? - Max nie spuszczał oczu z Cathy Poczula ucisk w gardle. Jeśli powie, że nie ma dyskietki samolot wystartuje, a jeśli wyjawí prawdę, może narazić Hale'a na śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie chciała, by stało mu się coś złego, ale z drugiej strony nie zamierzała spędzić reszty życia na Kajmanach w towarzystwie tych dwóch szaleńców.

- Przecież ona nie powie nam prawdy, idioto! - huknął Swithin, całkiem tracąc respekt dla swego wuja. - Musimy wiać!

Cathy spodziewała się, że za chwilę dojdzie pomiędzy nimi do bójki. Nagle usłyszała pisk opon. Przez okno zobaczyła niebiesko-czerwone światła policyjnych aut okrążających samolot. Podskoczyła z radości. Była uratowana.

- Policja! - zaskrzeczał Swithin, nie wiadomo dlaczego łapiąc Cathy za ramię. - Co teraz robimy? - zapytał, jakby teraz to ona przejęła dowodzenie.

Max, widząc światła policyjne, ryknął na pilota:

- Siadaj za sterami, Smith! Wydostań nas stąd!

- Co mam robić, przejechać po policjantach? - burknął pilot, wracając na swoje miejsce.

Tym razem to Max złapał Cathy za ramię, wyrywając ją z uścisku Swithina. Poczula dojmujący ból, ale nawet nie jęknęła.

- Poinformuj wieżę, że mamy zakładnika - warknął grubas. - Powiedz, że jeśli nie dadzą nam pozwolenia na start, ta mała zginie.

Zginie? Cathy zrobiło się niedobrze.

Max zaciągnął ją do kabiny pilota, skąd policjanci mogli ją dostrzec przez szybę. Pilot nadał komunikat przez radio. W ciągu następnych kilku minut, które

wydawały się wiecznością, nic się nie stało. Cathy trzęsła się ze strachu. Chwilę później, ku jej zdziwieniu, jeden z policyjnych samochodów wycofał się.

Pozwalają nam odlecieć? - pomyślała ze zgrozą. Jak mogą? Zobaczyła taksówkę wjeżdżającą pędem na płytę lotniska. Po chwili z samochodu wyskoczyli Hale i Bob; w tej samej chwili samolot ruszył do przodu. Hale machał rękami i krzychał coś do jednego z policjantów.

Na widok Hale'a serce Cathy wypełniło się nadzieją. Herbert ścisnął ją mocno, ale próbowała mu się wyrwać. W trakcie tej szamotaniny musiała przypadkowo uderzyć w jakiś przyrząd na pulpicie sterowniczym, ponieważ samolot, niczym gigantyczny stalowy balon, nagle opadł na ziemię z metalicznym trzaskiem, pochylając się przy tym do przodu.

Zapanował chaos. Herbert runął na siedzenie obok pilota, Cathy zaś poleciała do tyłu w stronę kabiny dla pasażerów. Swithin, przeklinając siarczyście, wylądował w przejściu na podłodze.

Cathy nie traciła czasu i podbiegła do awaryjnego wyjścia. Swithin ruszył za nią i gdy przymierzała się już, by z okrzykiem „zwycięstwo” skoczyć na ziemię, złapał ją za rękę.

- Musisz im powiedzieć - bełkotał gorączkowo - że nic nie zrobiłem. Byłem tylko pośrednikiem...

Doprawdy, wybrał sobie właściwy czas, żeby załamać się nerwowo! Podjęła heroiczną próbę wydostania się z tego przeklętego samolotu, a ten wariat nie chciał jej puścić. Zachowywał się histerycznie, jak tonący, który topi osobę, która może go uratować. Ale ona nie zamierzała ratować Swithina. Spojrzała za siebie i zobaczyła podnoszącego się Maxa. Musiała coś zrobić, natychmiast! W panice wyrwała z uścisku Swithina lewą rękę. Błyskawicznie odchyliła się, zamachnęła i posłała w kierunku kościstej szczęki Swithina mocny lewy sierpowy. Oszołomiony kamerdyner zachwiał się, a wtedy Cathy jak błyskawica wyskoczyła z samolotu i pobiegła po pasie startowym.

Z naprzeciwka nadbiegał Hale. Spieszyła ku niemu tak szybko, jak tylko pozwalały jej nogi. I kiedy wreszcie złożyła głowę na jego piersi, wiedziała, że dotarła do bezpiecznej przystani.

- Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało - szepnął.

Spojrzała w jego niebieskie oczy, żeby odpowiedzieć, ale w tym momencie policjanci odsunęli ich na bok. Chwilę później, wciąż tuląc się do Hale'a, zobaczyła tuż przed sobą karetkę ratunkową.

- Cathy! - zawołał Bob, który zdawał się nie zauważać, że jego narzeczona podejrzanie długo pozostaje w ramionach Hale'a. - Co za ulga, że nic ci się nie stało.

Cathy poczuła się niezręcznie; nie wiedziała, co odpowiedzieć. Odwróciła się i zobaczyła Maxa Herberta wychodzącego z samolotu, a tuż za nim Swithina o kulach oraz niefortunnego pilota. Samolot, który przypominał przewróconego stalowego ptaka, otaczał kordon policjantów.

- Dzielna z ciebie dziewczyna, Cathy. - Hale uścisnął ją raz jeszcze.

- Nic nie zdziałałabym bez was - powiedziała na pozór nonszalancko, jakby chodziło o wygrany mecz. - Gdyby nie wy, pewnie wylądowałabym gdzieś na dnie oceanu w pobliżu Kajmanów.

Bezwiednie skierowała spojrzenie na Boba. Gnębiło ją poczucie winy. Wyzwoliła się niezgrabnie z władczych objęć Hale'a. Naprawdę chciała wszystko wyjaśnić swemu narzeczonemu. Powinna być z nim teraz na Kajmanach...

Hale chrząknął, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale uprzedził go policyjny detektyw, Saunders.

- Panna Seymour? - zwrócił się do Cathy. - Chcemy, by złożyła pani zeznania. - Popatrzył na Boba i Hale'a. - A wy dwaj, kim jesteście?

- Jestem policjantem z Nowego Jorku - przedstawił się Hale. - To ja was wezwałem.



- A ja jestem narzeczonym panny Seymour - odpowiedział Bob, nie znajdując bardziej logicznego wyjaśnienia swojej obecności w tym miejscu.

- Naprawdę? - zdziwił się detektyw, przenosząc wzrok z Boba na Hale'a, a potem na czerwoną jak piwonia Cathy. Gdy nikt mu nie odpowiedział, po prostu wzruszył ramionami. - W porządku, chodźmy. Jeden z was pojedzie ze mną.

Cathy zawahała się. Powinna porozmawiać z Bobem, ale pragnęła zostać przy Hale'u. W jego ramionach czuła się taka bezpieczna...

Hale obserwował ją w napięciu. Była wciąż rozdarta pomiędzy nimi dwoma. By jej ułatwić sytuację, sam podjął decyzję.

- Pojadę z panem - zwrócił się do detektywa.

Cathy zrozumiała, że poczuł się dotknięty jej wahaniem. Ale czego się spodziewał? - zastanawiała się z irytacją wywołaną zmęczeniem i zdenerwowaniem. Czy miała tutaj zawiadomić Boba, że z nim zrywa?

- Możemy iść? - zapytał Bob, biorąc ją za rękę. Cathy skinęła głową.

- Chciałabym napić się kawy - powiedziała.

- Na pewno poczęstują nas na posterunku - odparł, patrząc na nią uważnie. - Może znajdziemy tam jakiś kąt, by porozmawiać na osobności - powiedział po chwili. - Myślę, że mamy wiele spraw do omówienia.

Cathy przytaknęła, modląc się w duchu, by Bob nie nalegał na rychły ślub...

- Krótko mówiąc - ciągnął Bob - zrozumiałem, że potrzebuję w życiu czegoś więcej...

Cathy popatrzyła ze zdumieniem na Boba, który w pulchnych dłoniach trzymał kubek słabej, ledwo ciepłej policyjnej kawy. Kiedy usiedli w poczekalni posterunku, Cathy pomyślała, że to wystarczająco spokojne miejsce, by wreszcie wyznać Bobowi prawdę. Zamierzała nawet oddać mu pierścionek zaręczynowy. Ale nim zdążyła się odezwać, Bob wylał na jej głowę kubek lodowatej wody.

- Czyżbyś chciał odwołać ślub? - zapytała mimo woli podniesionym głosem. Nie tego się spodziewała!

- Uważam, że tak będzie najlepiej - odpowiedział. - Wiesz, kiedy mierzono do mnie z pistoletu, wtedy w pokoju hotelowym w Atlantic City, nagle całe życie przebiegło mi przed oczami. To, co zobaczyłem, zupełnie mi się nie spodobało. Spójrzmy prawdzie w oczy, Cathy, oboje popadliśmy w rutynę. Chcieliśmy za wszelką cenę upodobnić się do innych, prowadzić banalne życie, pracować do emerytury w banku...

- Tak, ale...

- To nie twoja wina, Cathy. - Westchnął i wzruszył ramionami. - Po prostu potrzebuję zmiany.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała, zadając samej sobie w myślach identyczne pytanie.

- Zamierzam wrócić do Connecticut i pracować dla ojca.

- Och, nie! - zawołała z oburzeniem. Wciąż nie potrafiła myśleć bez złości o tym małym tyranie.

- Chcę się z nim pogodzić, Cathy - powiedział Bob. - Wiem, że wydaje się trochę gburowaty...

- Trochę?

Bob uśmiechnął się wyrozumiale.

- Kiedy byłem jego więźniem, zaproponował mi pracę w swojej firmie. Zamierzam przyjąć tę ofertę. Zarobię wystarczająco dużo, by po dziesięciu latach przejść na rentę i robić wreszcie to, na co naprawdę mam ochotę.

- A na co masz ochotę, Bob? - Była przerażona, że musi zadać to pytanie. Jak mogła stanąć na ślubnym kobiercu z kimś, o kim tak niewiele wiedziała?

- Chcę skończyć kursy kucharskie i zająć się gotowaniem.

Cathy zamurowało. Z początku przemknęło jej przez myśl, że praca w kuchni nie wyjdzie Bobowi na zdrowie. Jego nadwaga, jego cholesterol! Ale po chwili uświadomiła sobie, że to już na szczęście nie jej sprawa. Próbowwała

ukształtować Boba zgodnie ze swoimi wyobrażeniami o idealnym partnerze. Być może czuł się przez nią zniewolony, ubezwłasnowolniony? Może miała więcej wspólnego z jego ojcem, niż chciałaby przyznać?

- Czy ty masz jakieś plany? - zapytał, kiedy zdjęła pierścionek. - Wydaje mi się, że ty również dokonałaś pewnych ważnych wyborów.

Popatrzyła na niego, czując, jak płoną jej policzki. Cóż miała odpowiedzieć? Zakochała się w bracie swojego narzeczonego i poszła za głosem serca, czego zawsze tak bardzo się wystrzegала. Ale nie żałowała niczego. Naprawdę niczego.

Położyła pierścionek na stole i przesunęła go w stronę Boba.

- Nie jestem pewna... - Naprawdę niczego już nie była pewna. Tak bardzo starała się postępować właściwie i co jej z tego przyszło?

Bob otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął, ponieważ w drzwiach pojawił się Hale.

- Czy już was przesłuchano?

- A myślisz, że zainteresuje ich moja historia? - spytał szczerze zmartwiony Bob.

- Jestem tego pewien - odparł Hale.

Bob, który nagle znów poczuł się kimś ważnym, pomknął na poszukiwanie policjanta.

Kiedy zostali sami, Hale, uśmiechając się porozumiewawczo, nalał sobie kawy.

- To dziwne, że czujemy się tak niezręcznie. Teraz, gdy ty i Bob nie jesteście już razem, pomyślałem...

- Czyżbyś podsłuchiwał pod drzwiami?

- Nie, oczywiście, że nie.

- W takim razie, skąd wiesz, że zerwaliśmy zaręczyny?

- Brat mi powiedział.

- Ale przecież... Chcesz powiedzieć, że Bob poinformował cię o tym wcześniej niż mnie?

- Nie powiedział tego wprost. Wywnioskowałem to z rozmowy, którą przeprowadziliśmy jeszcze w domu ojca.

- W domu? - Cathy prawie krzyknęła. - Chcesz powiedzieć, że wiedziałeś o tym przez całe dwa dni? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Wahałem się. Doszedłem jednak do wniosku, że nie powinienem się wtrącać. To była sprawa pomiędzy tobą i Bobem.

- Ale to, co stało się w pokoju hotelowym w Atlantic City, chyba nas dotyczy, prawda? Czy tak bardzo boisz się stałych układów, że nie chciałeś, bym przywiązywała zbyt wielką wagę do naszego romansu?

- To nie tak, Cathy - powiedział, podchodząc i biorąc ją za ramiona. - Wiem, że to zabrzmiało dziwnie w moich ustach, ale ja... - wziął głęboki oddech - myślę, że powinniśmy...

Cathy omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Skippy Dewhurst poradził sobie w analogicznej sytuacji o wiele lepiej!

- Posłuchaj mnie, Cathy. Myślę, że powinniśmy... powinniśmy...

Ścisnął ją mocniej za ramiona, ale słowa go zawiodły. Nadzieje Cathy raz rosły, to znów opadały.

- Mój Boże - powiedziała ze zgrozą, tak jakby była naukowcem obserwującym pod mikroskopem jakiś rzadki okaz. - Tak bardzo przeraża cię stały związek, że aż brakuje ci słów, by to wyrazić!

Zaprzeciżył ruchem głowy.

- Potrzebuję stałego związku, Cathy.

Obserwowała go przez chwilę nieufnie. Czyżby mówił prawdę?

- Tyle się wydarzyło przez ostatnie dwa dni, Hale - powiedziała cicho. - Potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

- Oczywiście - zgodził się. - Jeśli chcesz więcej czasu, dam ci go. Kiedy mogę się spodziewać odpowiedzi?

Odsunęła się od niego zdecydowanie i chwyciła torebkę. Jeśli zostałyby w pokoju dłużej, mogłaby zrobić coś głupiego, na przykład rzucić się w ramiona Hale'a albo wyrazić zgodę na zamieszkanie z nim na Brooklynie.

- Zadzwoń do ciebie - obiecała, wychodząc.

## ***ROZDZIAŁ JEDENASTY***

- Owszem, moje włosy są naprawdę zielone. A teraz, o czym chciałbyś ze mną porozmawiać?

Hale usiadł wygodniej na krześle naprzeciwko Joan Seymour. Był wyraźnie zakłopotany nie tylko z powodu niesamowitego wyglądu siostry Cathy, ale przede wszystkim dlatego, że naprawdę potrzebował pomocy.

- Nie chodzi o to, że chciałbym wywierać nacisk na Cathy albo coś w tym rodzaju... - zaczął niepewnie.

Joan uśmiechnęła się ze zrozumieniem i popukała pomalowanymi na zielono paznokciami w czarny blat owalnego biurka.

- Po prostu chciałbyś wiedzieć, jaka ona jest - odgadła.

Hale zmarszczył brwi. Nie zamierzał być nachalny, ale przecież minęło już dziesięć dni, od czasu gdy Cathy obiecała mu, że zadzwoni. Powiedziała, że potrzebuje trochę czasu i wówczas te słowa wydały mu się logiczne. Ale właściwie, ile czasu potrzebuje kobieta na przemyślenie pewnych spraw? Zwłaszcza teraz, kiedy Bob wypadł z gry?

- Czekałem na jej telefon, ale nie zadzwoniła. - Hale westchnął. Do licha, co on tutaj robił! Powoli wstał. - Gdybym tylko wiedział, że wszystko u niej w porządku... - Zaczął iść w stronę drzwi.

- Nie jest w porządku. - Joan zatrzymała go w połowie drogi. - Nie jest z nią w porządku - powtórzyła. - W gruncie rzeczy moja biedna siostra jest bardzo chora.

- Co z nią się dzieje? - zapytał przerażony. Joan strzeliła palcami.

- Moim zdaniem, a wiem, co mówię, Cathy jest niestety znerwicowanym, roztrzęsionym odbiciem swojej poprzedniej jaźni - wyjaśniła. - Wczoraj była u mnie i przez cały czas wzdychała i popijała piwo. Przez trzy godziny pod rząd! W końcu musiałam wypchnąć ją za drzwi. Jeszcze chwila, a oszalałabym.

- To brzmi przygnębiająco. - Hale podrapał się w brodę.

- Obserwowałam te objawy u innych pacjentów. Apatia, cierpienie, brak koncentracji. Ona zachowuje się dziwnie.

- Jak myślisz, z jakiego powodu?

- Miłość - Joan postawiła diagnozę, patrząc wrogo na rozmówcę. - Cathy umiera z miłości. I to wszystko twoja wina.

Hale z powrotem opadł na krzesło. Powoli zaczął mu wracać dobry humor. Joan uśmiechnęła się promiennie.

- Czy powinienem do niej pójść? - zapytał. - Gdybym z nią porozmawiał...

Joan energicznie potrząsnęła głową.

- Zrób cokolwiek, tylko z nią nie rozmawiaj. Rozmowa nic nie da. Przez lata próbowałam ją przekonać, że Bob nie jest mężczyzną jej życia, i co osiągnęłam? - Joan smętnie pokiwała głową. - Ale ty dokonałeś prawdziwego cudu w ciągu zaledwie kilku dni. A wiesz jak? Zmuszając ją do działania. Trzeba ją jak najszybciej wyrwać ze stanu apatii.

- Rozumiem.

- Ale pamiętaj - dodała tonem ostrzeżenia - że Cathy potrzebuje stałego związku. Pragnęła tego od zawsze.

- Ja również tego pragnę - zapewnił. - Ona uważa mnie za lekkoducha tylko dlatego, że mieszkam w kiepsko umeblowanym mieszkaniu, nie noszę garnituru i aktówki jak Bob i że miałem wiele dziewczyn... - głos mu się załamał - ale patrzę na wszystko inaczej, od kiedy spotkałem Cathy. - Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że życie rodzinne nie musi być gnuśną i nudną

egzystencją jak ta, którą pamiętał z dzieciństwa. Mogą wraz z Cathy prowadzić kolorowe życie, pełne miłości i wzajemnego zrozumienia. - Nie zawiodę jej - obiecał.

- Dobrze. - Joan wstała. - W takim razie pomogę ci. Przechylił głowę i przyjrzał jej się z zainteresowaniem.

Dostrzegł w jej oczach przebiegły błysk.

- Co masz na myśli? Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Mam chłopaka o imieniu Duke, a ty, jak słyszałam, masz nieznośnego ojca, któremu on mógłby się przydać...

- Chcesz pójść z nami na chińszczyznę?

Cathy popatrzyła na kilku swoich współpracowników, stojących w drzwiach gabinetu, który kiedyś należał do Berniego Mortona, a teraz został oddany do jej wyłącznej dyspozycji. Zmusiła się do uśmiechu, chociaż chciało jej się płakać.

- Dziękuję, ale nie jestem głodna - powiedziała. Usłyszała ich śmiech, kiedy oddalali się korytarzem, i pozazdrościła im dobrego humoru.

Po półgodzinie, gdy wzdychając co chwila, dopiła bezkofeinową kawę, doszła do wniosku, że przerwa na lunch dobrze jej zrobi. Wyłączyła komputer i zeszła na dół. W głównym holu na ścianie przy wejściu wisiało jej zdjęcie. Za swój wybitny udział w odkryciu kradzieży dostała awans i została pracownikiem miesiąca.

Rzuciła okiem na portret i doszła do wniosku, że wygląda na nim tak samo blado i źle, jak się w rzeczywistości czuje. Znalazła się na progu wielkich zmian, lecz nie była w stanie podjąć ostatecznej decyzji. Wciąż nie potrafiła się zdobyć na telefon do Hale'a. Zaangażowanie się w ten związek przypominało jej skok na głęboką, nieznaną wodę. Ale z drugiej strony wycofanie się oznaczało nurka w bezdenną przepaść bankowych kredytów, rozmaitych diet i samotnych wycieczek do kina w weekendy...

Wyszła przez obrotowe drzwi banku, okrążyła róg przy delikatesach i omal nie zderzyła się z jakimś mężczyzną.

- W porządku, młoda damo, pójdiesz ze mną!

Cathy wciągnęła powietrze, kiedy mocna dłoń zacisnęła się na jej ramieniu.

- Puść mnie! Co ty wyprawiasz?

Nieznajomy mężczyzna ciągnął ją w stronę taksówki. Cathy rzuciła okiem na żółty samochód zaparkowany przy krawężniku i zaczęła się wyrывać.

- Zjeżdżaj, chamie! - wrzasnęła z furją.

Wykręcił jej ramię, niestety, bardzo skutecznie. Potykając się, przeszła kilka kroków.

- Ostrzegam cię, nie ujdzie ci to na sucho! Pewni ludzie, którzy odważyli się mnie porwać, skończyli w pudle!

I nagle przyszło jej do głowy, że ten mężczyzna być może działa na polecenie Maxa Herberta. Lodowaty strach ścisnął jej serce. Czowała się bezpieczna, wiedząc, że Herbert oczekuje na rozprawę w więzieniu. Ale przecież on i Swithin mogli nasłać na nią jakiegoś zbira.

- Powiedz swojemu szefowi, że nigdy nie wyjdzie z ciupy. Porywając mnie, pakuje się w jeszcze większe kłopoty...

- Powiedz mu to sama - warknął mężczyzna i pchnął ją do środka samochodu. Wylądowała z głuchym plaśnięciem na tylnym siedzeniu, a za nią jej potężny napastnik.

Na tylnym siedzeniu siedział jeszcze jeden mężczyzna, wciśnięty pomiędzy nią a drugie drzwi. Kiedy taksówka włączała się do ruchu, Cathy zerknęła na swego sąsiada i niemal krzyknęła ze zdumienia. Kevin Delaney!

- Powinnam wiedzieć, że to twoja sprawka! - powiedziała ze złością. Łobuz, który wepchnął ją do taksówki, był zapewne nowym kamerdynerem Delaneya.

Brodąta twarz stała się czerwona jak burak.



- Nie próbuj mi podskakiwać, panienko!

- Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? - obruszyła się. - Zajmowałam się swoimi sprawami. Wyszłam sobie po kanapkę...

- Ach, zajmowałaś się swoimi sprawami, czyżby? - zakpił. - A zerwanie zaręczyn z Bobem to też wyłącznie twoja sprawa?

- Ja zerwałam zaręczyny? - Otworzyła usta ze zdumienia.

- Wiem tylko, że mój syn zamierzał się ożenić, a teraz jakoś nie wspomina o ślubie. Chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

- Jego o to zapytaj.

- Dzisiejsza młodzież nie potrafi udzielać jednoznacznych odpowiedzi!

Cathy przewróciła oczami. Bob na pewno wyjaśnił, co się stało, ze dwadzieścia razy. Stary zrzęda prawdopodobnie nie potrafił przyjąć do wiadomości faktów, które były dla niego niewygodne.

- Posłuchaj, ty demoniczny karzełku - powiedziała ze złością. - Bob zerwał nasze zaręczyny ponad tydzień temu. On to zrobił, rozumiesz? Choć przyznaję, że zamierzałam postąpić tak samo.

- Ach tak...

- Tak, a chcesz wiedzieć dlaczego?

- Nie jesteś w stanie powiedzieć mi niczego, co mogłoby mnie zainteresować - mruknął zagniewany.

- Ale i tak ci powiem, ty celtycki nudziarzu! - wybuchła. - Ponieważ kocham twojego drugiego syna, tego, którego wydziedziczyłeś, gdy został policjantem. Tego, który mnie porwał i pomógł zdemaskować złodzieja twoich przeklętych pieniędzy!

Przejeżdżali właśnie przez Queens i wyglądało na to, że kierują się na lotnisko. Fantastycznie! Kevin łypnął na nią wściekle.

- Uważaj, panienko, co mówisz! Rozmawiasz ze swoim przyszłym teściem.

Jeszcze chwila i zaczniesz wyrywać sobie włosy z głowy. Albo lepiej: wyrwie je temu zbzikowanemu staruszkowi, do którego nic nie docierało.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż! - zaprotestowała.

- Och, zrobisz to, panienko - obstawał przy swoim.

- Zrozum, że wszystko pomiędzy mną i Bobem skończone!

Patrzył uparcie przed siebie, udając, że w ogóle jej nie słucha.

- Osobiście nie mogę zrozumieć, dlaczego ktokolwiek przy zdrowych zmysłach chciałby się z tobą ożenić - mruknął.

Cathy również popatrzyła przed siebie; najlepiej zrobi, zachowując spokój i nadzieję, że natkną się na lotnisku na jakiegoś policjanta. Obserwując przez przednią szybę mijane ulice, rzuciła okiem na zdjęcie i nazwisko kierowcy taksówki. Duke Raffery. Zaczęła się zastanawiać, czy on potwierdzi jej historię na policji...

Duke Raffery? Czyżby słyszała już przedtem to nazwisko?

Spojrzała na jego twarz w górnym lusterku, ale oczy miał przysłonięte ciemnymi okularami, a odwrócona daszkiem do tyłu baseballowa czapeczka zakrywała głowę.

Szofer zaparkował przed wejściem do terminalu. Cathy pomaszerowała do sali odpraw w asyście Duke'a i porywacza. Przed nimi dumnie kroczył z wypiętą do przodu piersią Kevin Delaney.

Cathy skupiła uwagę na strażnikach pilnujących przejścia przez bramkę do wykrywania metali. Jeśli tylko szepnie im słówko...

- Zatrzymaj się! - dobiegł ją z tyłu znajomy głęboki głos. Ze sklepu z pamiątkami wyszedł Hale, a za nim Joan i Bob. Cathy omal nie zemdlała na ich widok. Hale, o dziwo, ubrany był w smoking i, chociaż wyróżniał się tym strojem w tłumie podróżnych, wyglądał fantastycznie. Niebieskie oczy błyszczały humorem i ciepłem. Cathy bez zastanowienia wyrwała się z objęć swego porywacza i pobiegła na spotkanie ukochanego.

- Hale! - szepnęła, tuląc się do jego piersi. Nie dbała, że robi to na oczach tłumu gapiów. Tak bardzo za nim tęskniła, tyle łez wypłakała przez ten tydzień. Teraz liczyła się każda sekunda. Musiała jak najszybciej powiedzieć mu o swoich uczuciach.

Znalazła się w mocnych objęciach, poczuła na wargach słodki pocałunek. Wargi Hale'a były ciepłe i miękkie. Powiedziały jej wszystko, co chciała wiedzieć. A kiedy wreszcie odsunęli się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza, Hale uściskał jej obie ręce.

- Cathy, tak mi przykro, tej nocy na posterunku chciałem powiedzieć ci, co czuję, lecz nie potrafiłem znaleźć właściwych słów. A teraz...

- Nie musisz nic mówić, Hale - szepnęła.

- Ale chcę - powiedział, klęcząc na jedno kolano. - Inaczej nigdy nie dowiesz się, że pragnę zostać twoim mężem...

Co on mówił? Czyżby miał na myśli... Objął ją mocniej.

- Czy mnie poślubisz, Cathy?

Poczuła, że łzy spływają jej po policzkach. Przypomniała sobie mgliście, jak Kevin Delaney upierał się, że wkrótce zostanie jego synową. Pomyślała wówczas, że będzie próbował zmusić ją do poślubienia Boba, a tymczasem...

- Chcesz się ze mną ożenić? - zapytała, nadal zdziwiona.

Uśmiech zamarł mu na ustach. Klęczał przed nią na oczach tłumu obcych ludzi, a ona jeszcze wątpiła?

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę - powiedziała, pomagając mu wstać. - Tak szybko, jak chcesz. Kiedy... ?

Czekająca w oczywisty sposób na tę chwilę Joan wysunęła się do przodu z walizką i dwoma biletami lotniczymi.

- Wszystko już załatwione - oznajmiła. - Lecicie do Vegas. Musicie się pośpieszyć, żeby zdążyć na piątą. O tej godzinie wielebny Elvis udzieli wam ślubu w kaplicy „Wieczna miłość”.

Cathy chwyciła torbę i bilety. Uścisnęła Joan, Boba i Duke'a, przyjmując ich najlepsze życzenia. Nie wiedziała, ile osób wzięło udział w tym spisku, ale kochała ich wszystkich. Być może z wyjątkiem...

Odwróciła się do Kevina Delaney'a.

- Muszę ci powiedzieć, panienko - odezwał się mały staruszek - że pogodziłem się z moimi synami. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego taki porządny chłopak jak Hale chce złączyć swój los z wiedźmą. Masz stanowczo zbyt wybujały temperament.

Cathy opadły ramiona. W tej chwili kochała nawet starego Kevina. Zaśmiała się i pocałowała go w zarośnięty policzek. Kevin Delaney zaróżowił się lekko i przez krótką chwilę sprawiał wrażenie wręcz zadowolonego.

Całe życie Cathy uciekała od swojej zwariowanej rodziny. Ale teraz, kiedy ścisnęła siostrę na pożegnanie, wiedziała już, że na zawsze pozostanie jej wdzięczna. Uważała, że jej rodzice robili wszystko źle, ale w końcu doceniła jedną rzecz, którą zrobili naprawdę dobrze.

- Jeśli kiedykolwiek będę miała córkę - zwróciła się do Joan - chcę, żeby była podobna do ciebie.

Joan spojrzała na nią wilgotnymi oczami.

- Pomimo koloru moich włosów i paznokci?

- Oczywiście!

- Nie zapominaj, że na ten temat będzie miał coś do powiedzenia również twój mąż - zażartowała Joan.

Ocierając łzy, Cathy popatrzyła w niebieskie oczy Hale'a, czując jak rośnie jej serce. Mąż! To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Ujął jej dłonie i uśmiechnął się niepewnie.

- Przeprowadzimy się, dokądkolwiek zechcesz, Cathy.

Zgadzam się nawet na piętrowy domek ogrodzony białym płotem.

Prawie znów się rozplakała, słysząc te słowa.

- I będziesz zapraszał sąsiadów na mięso z grilla?

- Możesz być tego pewna. - Uśmiechnął się zniewalająco. - Kupię nawet fartuch z napisem: „Pocałuj kucharza”. Mówię poważnie, Cathy. Zaczniemy szukać domu zaraz po powrocie.

Uścisnęła go mocno. Jakże go kochała za to, że wychodził naprzeciw jej marzeniom! Ale, o dziwo, odwieczne pragnienia nie wydawały się już tak atrakcyjne.

- Możemy na razie mieszkać na Manhattanie - powiedziała. - Zobaczymy, co życie przyniesie...

- Dobrze się czujesz, Cathy? Zaśmiała się głośno.

- Jak nigdy! Jedźmy wziąć ślub!

Pomachali wszystkim na pożegnanie i ustawili się w kolejce do odprawy.

- Wariowałem bez ciebie - wyznał Hale, kiedy zostali sami. Poczuli rozkoszny dreszcz.

- To świetnie - odpowiedziała. - Nie zniósłabym świadomości, że tylko ja cierpiałam.

- Miałaś więc towarzystwo, ale o tym nie wiedziałaś. - Zaśmiał się z cicha.

Widząc znów ten uśmiech, który prześladował ją przez dziesięć samotnych dni, zarzuciła mu ramiona na szyję. Nie mogła doczekać się, kiedy zostaną mężem i żoną. Jeszcze tylko długi lot, potem ślubna ceremonia i wreszcie będą razem. Na zawsze. Życie było wspaniałe! Nic już nie mogło stanąć na ich drodze do szczęścia.

Gdy Hale przechodził przez wykrywacz metalu, włączył się brzęczyk i dźwięczał bez przerwy, nawet wówczas gdy Hale odłożył klucze na plastikową tacę.

No i proszę, jak pech to pech! Cathy obleciał strach i nie opuszczał jej, dopóki Hale nie wyciągnął prostokątnego pudełka z wewnętrznej kieszeni marynarki. Otworzył je przed strażnikiem, a potem podszedł do Cathy.

- Zapomniałem, to jest dla ciebie - powiedział, pokazując jej piękny brylant misternie oprawiony w złotą plecionkę. Uśmiechnął się sardonicznie. - To miał być ostateczny argument, na wypadek gdyby inne środki perswazji zawiodły...

- Sugerujesz, że jestem przekupna? - Uśmiechnęła się, wsuwając pierścionek na palec.

Wzruszył nonszalancko ramionami.

- Myślałem, że taki tradycyjny gest będzie na miejscu. Wiem, że cenisz tradycję.

- Tak było, zanim trzy razy mnie nie porwano, zanim nie zasmakowałam w noszeniu peruk, dziwacznych zielonych sukienek i w niespodziewanych podróżach lotniczych. - Wspięła się na palce i pocałowała Hale'a.

- Pospieszmy się - powiedział Hale, puszczając oko do swej narzeczonej. - Elvis na nas czeka.

